

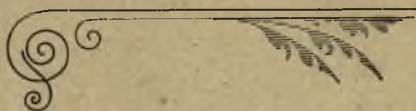




Z PAPIERÓW

po

Nieboszczyku Czwartym.



Дозволено Цензурою
Варшава, 9 Ноября 1895 года.

Egz. archiwalny IBL

KLEMENS JUNOSZA.

„Z papierów

po

Nieboszczyku Czwartym.”

Obrazek



WARSZAWA.

Nakład i własność W. Czajewskiego.

1896.

INSTITUT
BADAŃ I INTERAKCJI PAN

Biblioteka

ul. warszawska 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



Panu

Maksymilianowi ↗

↖ Białowiejskiemu

Drobnostkę tę ofiaruje

Autor.

Warszawa 1896 r.

7312

<http://rcin.org.pl>

Rozdział pierwszy: o tem, z kąd się wzięły papiery i kto był nieboszczyk „czwarty“?



Przeglądając stare książki u antykwaryusza, znalazłem rękopis. Był to gruby zeszyt oprawny w tekturkę, oklejoną czarnym płótnem.

Kajet zapisany był bardzo starannie i czytelnie, widocznie przez człowieka, który lubił systematyczność i porządek, a zarazem miał dużo wolnego czasu. Każda litera była wykończona, wycieniona prawie, wiersze wyciągnięte równo, jak pod sznur, margines na wszystkich stronicach miał jednakową szerokość, karty ponume-

rowane były czerwonym atramentem.

Usiadłszy na kulawem krzeselku, zacząłem przerzucać karty rękopismowej księgi, antykwaryusz zaś, zapaliwszy cygaro, od którego zapachu mogły struć się wszystkie móle w jego książnicy, otoczył się kłębamii dymu, z po za którego wspaniała jego broda wyglądała niby płacząca wierzba z po za mgły wieczornej.

Milczeliśmy przez jakiś czas obadwaj; ja przerzucałem karty manuskryptu, handlarz z po za obłoku dymu śledził wrażenie, jakie czytanie na mnie sprawia.

Schyliłem głowę, jak najniżej, w słusznem^o przekonaniu, że mądry będzie ten mąż, jeżeli z łysiny mojej potrafi cokolwiek wyczytać.

Przejrzawszy manuskrypt, położyłem go na półce i zacząłem targować jakąś starą broszurę, niepotrzebną mi wcale.

Bukinista ceniał ją pięć rubli, ja ofiarowałem złotówkę i tak bawiliśmy się, on w odejmowanie, ja w dodawanie, aż targ szczęśliwie na pół rubelku stanął i broszura przy mnie została.

— No, a co pan powiada o tym rękopiśmie? — zapytał antykwaryusz.

— Nic.

— Dlaczego nic?

— Bo nie wiem, co to jest...

— To bardzo, bardzo starożytny interes, ja za niego grubo zapłaciłem.

— Szkoda, kajet wcale nie starożytny.

— Na moje sumienie on jest całkiem starożytny. Dość jest trochę powąchać okładkę....

— Wspomina o wojnie francusko-pruskiej i ma na sobie datę roku 1879.

— No, to co? To też nie było wczoraj, ani onegdaj. Kiedy była

francuska wojna? Ja wiem, że się wtenczas dopiero co ożenił...
mojej żony ojciec wtenczas umarł,
a trzeba panu wiedzieć, że to był
bardzo, bardzo starożytny czło-
wiek. Daj mi Boże tyle tysięcy
w majątku, ile on miał lat życia
ten mój teść! Dawne czasy, bar-
dzo dawne czasy—dodał, zdejm-
jąc z półki rękopism.--Patrz pan,
czy teraz kto tak pisze? To jest
nie pisanie, ale sztych, to koper-
sztych jest! Niech pan uważa, żad-
na litera nie sfuszerowana, wszyst-
kie robione na urząd. Nie powie
pan dobrodziej, że to nie staro-
żytne, bo choć data jest, choć o
wojnie jest, to jeszcze żaden do-
wód. Data może być omylona, a
wojna... Co znaczy wojna? Albo
jedna wojna była na świecie? Aku-
rat może to nie ta, o której pan
ma pomyślenie.

— Zkąd pan ma ten rękopism?

Pytanie tego rodzaju zawsze od-
zywało się niemiłym zgrzytem

w uchu i w sercu mego bukinisty. Do czego w ogóle prowadzić może taka niepotrzebna ciekawość? Jako człowiek bardzo drażliwy na punkcie honoru, widział w zapytaniu mojem podejrzenie i wątpliwość. Przypuszczał jakiś zły zamiar. Starąłem się uspokoić jego obawy, zapewniając, że do tego pytania skłoniła mnie prosta ciekawość.

— Albo ja wiem?—odrzekł, ramionami wzruszając—ja ten rękopis kupiłem. Czasem się kupuje książki na licytacji, czasem z wolnej ręki; niekiedy sprzedaje je na wagę wydawca, który się źle obrachował, albo autor, co dla rozgłosu, zabawił się w wydawcę. Wiadomo panu przecież, że się różnie trafia, a i to panu również wiadomo, że po podwórzach chodzą biedne żydki i wołają „handel, handel!“ Czego taki żydek nie kupi? Starą garderobę, łóżko żelazne, popsute lampy i książki też.

Jak kupi, to każdą rzecz odnosi, gdzie potrzeba: ze starą garderobą idzie na Wołówkę, z żelaztwem na Pocijów, a książkę niesie do mnie, albo do mojego szwagra, albo do mojego zięcia. On nie może trzymać towaru dłużej jak kilka godzin. Rano kupił, wieczorem sprzedał. Takie jest jego życie. Czy ja mam się pytać, gdzie taki biedak książkę kupił, z jakiego podwórka ją przyniósł? On sam tego spamiętać nie może, bo ciągle handluje, a ja też nie pamiętam, bo także ciągle handluję... Ten kajet jest kupiony od handlarza.. od którego, nie wiem, bo rozumie pan przecież, że z takimi łapserdakami nie trzymam kompanii.

— Więc nie przypominasz pan sobie.

— Żebym przypominał, tobym odrazu powiedział; zresztą, na co panu ta wiadomość? Ma pan chęć, niech pan kupi, nie ma pan chęci, niech pan nie kupi. Może sobie

leżeć na półce, jak leżał. Swoją drogą, ja panu radzę kupić, ja panu nawet każe kupić. Podług mego zdania, to jest kawałek białego kruka. Nie lękaj się pan; ja się drożyć nie będę, oddam ze stratą, aby handel szedł. Dziś, niech mi pan wierzy, że ze wszystkich złych interesów, nasz jest najgorszy. Kto dziś kupuje białe kruki? Starzy amatorowie powymierali, a młodych amatorów wcale nie ma. Oni wolą, za przeproszeniem, białe lalki, aniżeli białe kruki... Na moje sumienie. Co się dziś sprzedaje? Trochę uczniowskich książek i trochę starych romansów do czytelnicy na prowincję, częściej na wagę, aniżeli na tomy. To jest cały nasz ruch w teraźniejszych czasach.

Włożył cygaro do ust i pociągnął dym tak gwałtownie, że aż skwierczeć zaczęło. Widocznie gorycz w sercu chciał goryczą tytoniu zagłuszyć i struć w so-

bie żal, niby móla, toczącego najpiękniejsze karty wielkiej księgi fachu antykwarskiego.

Ubolewaliśmy obadwaj nad upadkiem zamięłowania do ksiąg dawnych, wspominaliśmy z żalem zmarłych już, a znanych nam niegdyś zbieraczy rzadkości bibliograficznych, wspominaliśmy dawnych handlarzy książek, handlarzy spoczywających już w wielkiej antykwarni... pod ziemią.

— Oni znali smak—mówił rozżalony bukinista—a my? Co my znamy? My już nic nie znamy! Co jest, to nic nie jest i, na moje sumienie, panie dobrodzieju, lepiej dziś wódką handlować, niż takim szlachetnym towarem.

Te wynurzenia przykrych uczuć przeplataliśmy cyframi, bo rozmowa szła swoim torem, a targowanie się o rękopism swoim i jedno drugiemu nie przeszkadzało bynajmniej.

Ostatecznie rękopism stał się moją własnością.

Przed odejściem, musiałem jeszcze wysłuchać wykładu o różnych rodzajach amatorów dawnej daty i pseudo-amatorach dzisiejszych, których właściwie wcale niema; bo i taki gatunek, co go nie ma, jest przecie także gatunkiem.

Długo mi opowiadał ten smutnie nastrojony handlarz używanej literatury o prawdziwych bibliomanach, którzy nowem złotem za zbutwiałe papiery płacili, którzy rozkoszowali się charakterystyczną wonią dawnych szpargałów.... A dziś... dziś przychodzi amator i za rzadkość prawdziwą, za antyk, ofiaruje trzy ruble! Taki amator! za trzy ruble amator! Tfy!...

.

Przeczytałem rękopis od początku do końca, jeszcze raz i jeszcze raz i zastanowiłem się nad pytaniem, kto był jego autorem?

Niestety, zeszyt, o którym mowa, nie był pamiętnikiem skończonym, lecz tylko fragmentem pamiętnika; nie całą księgą szarego życia autora, ale kilkoma kartami jej tylko...

Schowałem rękopism do szafy, w przekonaniu, że nic z niego wycisnąć nie zdołam, aż najnie spodziewaniej, w jakiś czas później, zaszły okoliczności nieprzewidziane, dzięki którym miałem sposobność poznać osobiście pana Melchiora.


Był to mały, szczupły, niepozorny człowieczek, schorowany i kaszlący; wspominał często o śmierci i w rzeczy samej umarł w pół roku po zaznajomieniu się ze mną.

Z jego opowiadania i jeszcze z kilku zeszytów, jakie mi z własnoręczną dedykacją ofiarował, odbudowałem tę opowieść i zatytułowałem ją: „*Z papierów po nieboszczyku czwartym*“.

Jeżeli czytelnik ciekawy, dlaczego ten nieboszczyk był czwarty— i do tego czwarty przez małe c— to niech, wzbudziwszy w sobie ducha cierpliwości i wytrwania, odczyta niniejsze kartki do końca, a znajdzie w nich wyjaśnienie.



Rozdział drugi: zawierający w sobie część autobiografii nieboszczyka czwartego i będący zarazem wstępem do dalszego ciągu.

zy człowiek—pisze w swoim pamiętniku ś. p. czwartego — może mieć o to pretensję do losu, że nie dano mu stąpać po różach? Mojem zdaniem—nie. Czy ma prawo narzekać, że nie posiada majątku Rotszylda?—także nie; czy wreszcie godzi mu się sarkać, że nie zajmuje bardzo wysokiego szczebla na drabinie społecznej?—i to nie. Stąpać można po trawie lub po bruku, i to nie jest nie-szczęściem; potrzeby życia opędzać

umiarkowanym zarobkiem i to jest prawie szczęściem; pełnić obowiązki, przywiązane do skromnego stanowiska uczciwie, i to jest, możecie wierzyć, lub nie wierzyć, całym szczęściem.

Zawsze starałem się wpajać takie przekonanie w mych uczniów. Niektórzy zrozumieli mnie i źle na tem nie wyszli: większa część słuchała słów dobrej rady, niby bajki o żelaznym wilku; jednym uchem chwytła, wypuszczała drugim i, nie dziw, że w życiu znalazła gorycz i rozczarowanie.

Jedno jest tylko największe, mojem zdaniem, nieszczęście—nie być niczem, zostać po długich latach pracy i uczciwego życia istotą na nic nikomu nieprzydatną i niepotrzebną.

To, zaiste, jest nieszczęściem prawdziwym.

Urodziłem się na wsi, w dzień Trzech Króli, temu lat pięćdziesiąt z okładem.

Ojciec mój był oficjalistą folwarcznym; nazywali go panem rządcą, zapewne dlatego, że sprawował rządy nad kilkoma fornalamami, tylomaż parobkami i pastuchem.

Pierwszy dar, jaki otrzymałem od ojca po przyjściu na świat, było imię, a ponieważ urodziłem się w dzień Trzech Króli, więc wypadało mnie ochrzcić na Kacpra, Baltazara lub Melchiora...

Ojciec dał mi to ostatnie, dlatego, że imię Kacpra nosił nasz pastuch, więc jakoś nie wypadało nadawać je synowi pana rządcy; Baltazar, kowal wiejski, był to pijak sławny na całą okolicę, więc także nie—zostałem tedy Melchiorem. Prócz tego imienia i uczciwego nazwiska Kurkiewicz, nic mi rodziciel mój więcej nie dał, nie dlatego, że nie chciał, lecz z powodu, że nie mógł, a nawet szczerze mówiąc, i chcieć biedak nie

mógł, gdyż umarł w trzy lata po mojem urodzeniu.

W rok później za ojcem poszła i matka i zostałem na świecie sam jeden.

Nie mogę powiedzieć, żebym był bez opieki. Owszem, krewni mnie brali do siebie, trochę byłem u stryja, trochę u wuja, to znów u babki jakiejś, u ciotki, aż wreszcie, mając lat dziesięć życia, zająłem stanowisko ucznia przy organiście w Patykach.

Nie utrzymuję, że było mi tam źle; owszem, ile razy popędliwa z natury organiścina wytargała mnie za uszy, tyle razy organista, łagodny człowieczysko, gładził mię po głowie i tak to jakoś szło jedno w drugie i jedno za drugie.

Nauczyłem się czytać, pisać i rachować, trochę po łacinie i liznąłem cokolwiek wykształcenia muzycznego, które zacząłem był systematycznie, od abecadła, to jest od poruszania miechem i obciera-

nia organów z kurzu — potem, stopniowo, poznałem tajemnice klawiszów, klawiszów i pedałów, tak, że podczas nieobecności organisty, mogłem go, bez wielkiej krzywdy dla uszów parafian, zastąpić, co zresztą, jak mniemam, potrafiłbym i dziś jeszcze uczynić — i com też uczynił na ślubie panny Wandy, o czem na właściwem miejscu podana będzie szczegółowa relacya.

Kiedym doszedł do czternastu lat życia, w losie moim zaszła duża zmiana.

Proboszczem parafii w Patykach, w której, wedle sił i uzdolnienia mego, Bogu, organiście i ludziom służyłem, był ksiądz Eustachy Maciejowski, kanonik, człowiek napozór surowy, ale w gruncie rzeczy, jak to teraz zwłaszcza ocenić mogę, mąż nieprzebranej dobroci.

To mu tylko do pewnego stopnia mam za złe, że aczkolwiek wiedział, iż moje imię jest Melchior,

nazywał mnie zawsze smykiem, skurczypałą, strachem na wróble, żbikiem, a kiedy był w wyjątkowo złym humorze—obwiesiem.

Było mi to nieco przykro, ale czasem przyzwyczaiałem się tak dalece, że jak tylko zawołał „smyku!“, przybiegałem natychmiast z pytaniem: co rozkaże?

Otóż jednego dnia zawołał mnie ksiądz kanonik do siebie i rzekł surowo:

— Dość już zbijasz bąki, skurczypało! Trzeba się uczyć. „Disce puer, ego te faciam mości panie.“ Wiesz, kto to powiedział?

— Wiem.

-- A zkąd?

— Uczyłem się.

— No, no! To dobrze. Otóż szkoda cię, żbiku, żebyś przy tu-tejszym dławidudzie zmarniał. Nie nauczy on cię więcej nad to, co sam umie, a sam umie tyle, co i ty. Trzeba iść do szkoły, pójdziesz?

— Pójdę.

— A cóż tam będziesz jadł, ba-
sałyku?

— Nie wiem.

— A, chęć do nauki masz?

— Mam, księżę kanoniku.

— Otóż widzisz, obwiesiu, masz
tu trzy rzeczy: primo, list do księ-
dza prefekta, secundo, list do na-
uczyciela łaciny, tertio, dwa złote
na drogę. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Byłeś kiedy w X?

— Nie byłem, ale trafię.

— Jest dziewięć mil z ogonem.

— To nic.

— Patrzcie go! Otóż dziś spa-
kujesz swoje manatki, organiścina
zrobi ci tłumoczek. Jutro po mszy,
o siódmej rano, pójdiesz do X.
Uważaj dobrze, co ci powiem. Na-
przód dróżką po za ogrodem,
przez łąki do figury, potem skrę-
cisz na gościniec na prawo i bę-
dziesz się trzymał gościńca, nie
zbaczając, ten gościniec już cię do

samego X. doprowadzi. A nie leć, jak postrzeleniec, bo się zmęczysz; tylko idź równo, ciągle jednakowo. Koło południa znajdziesz się w lesie, tam będzie karczemka, przy niej studnia. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Będziesz miał w osobnym węzełku chleb i ser, który ci da kucharka. Lubisz ser, żbiku?

— I jak!

— To dobrze. Zatrzymasz się przy tej karczemce; chleb z serem zjesz, wodę w studni będziesz miał wyborną, napijesz się i odpocznesz, przynajmniej dwie godziny. Potem pójdziesz dalej gościńcem i będziesz szedł aż do miasteczka, w którym, jak słyszałeś zapewne, jest klasztor ojców bernardynów.

— Wiem.

— Pójdziesz wprost do klasztoru, u furty zadzwonisz i wyjdzie do ciebie furtyan, brat Achacy. Powiesz mu, kto jesteś i że odemnie

przychodzisz. Już tam wiedzą o tobie, smyku jeden. Dadzą ci kolację i nocleg. Pokłonisz się odemnie ojcu Serafinowi. Pamiętaj.

— Pamiętam.

— Rano, jak usłyszysz dzwonek, masz wstać, być na jutrzni, a po śniadaniu, który z braci wyprowadzi cię na drogę i pójdiesz już wprost do X., z małemi odpoczynkami. Lekki jesteś i zdrów, powinieneś być na miejscu koło godziny trzeciej po południu.

— Będę, księże kanoniku.

— To dobrze. Gdy będziesz już w X., zapytaj o księdza prefekta. Ktokolwiek wskaże ci, gdzie on mieszka. Pójdiesz tam, oddasz list i będziesz robił wszystko, co ci prefekt każe. Jak będziesz uczciwy, pilny, posłuszny, wyjdiesz na ludzi—jeżeli nie, zostaniesz prawdziwym obwiesiem. Miej sobie to przedewszystkiem w pamięci, że kto z Bogiem, Bóg z nim, oraz, że jak sobie kto pościele, tak

się wyśpi... Teraz idź i manatki zbieraj, smyku, a jutro zobaczymy się.

Spadło to na mnie tak niespodzianie, że nie wiedziałem na razie, czy się cieszyć, czy smucić. Radowała mnie myśl o szkole, ale też i starych śmieci żałowałem. Od małego taką miałem naturę, że m się przywiązywałem do ludzi. Organista był wcale niezły człowiek, organiścina, kobieta twardej ręki, ale miękkiego serca, dziad Marcin z kośćmi poczciwy, ludzie we wsi przychylni. Nie mówię już o księdzu, dla którego czułem cześć głęboką.

Żał mi było dobrych ludzi, żał stancyjki pod strychem, żał kościoła, w którym było tyle pięknych obrazów, a i organów też żał. Całą noc oka zmrużyć nie mogłem, a gdy nad ranem usnąłem, obudził mnie głos sygnaturki. Stary Marcin na mszę dzwonił. Obląłem głowę zimną wodą, ubrałem się

pospiesznie i pobiegłem do zakrystyi, myśląc, że posłużę do mszy kanonikowi ostatni raz...

Ostatni raz!...

Po mszy św., w zakrystyi, gdy ksiądz zdjął z siebie ornat, skinął, abym się zbliżył. Wziął mnie za ucho delikatnie i rzekł:

— Słuchaj, smyku i pamiętaj całe życie, że praca i uczciwość, to podstawa twojej przyszłości. Starszych słuchaj, ucz się, bądź dobrym. Jak skończysz szkoły, pomyślę, co masz dalej czynić, a teraz w imię Boga idź...

Rzekłszy to, zrobił nademną znak krzyża i pocałował mnie w głowę.

Wówczas stało się we mnie coś dziwnego. Nie zapłakałem, ale ryknąłem głosem wielkim i rzuciłem się do nóg mego dobroczyńcy. Podniósł mnie, ucałował raz jeszcze i popchnął lekko, mówiąc:

— Idź że, idź już, babo!

Sam odwrócił się szybko i poszedł na plebanię.

O dobry, szlachetny, poczciwy księżu! Póki żyć będę, wdzięczność moja dla cię nie wygaśnie. Dałeś mi przyszłość, wspomogłeś, pchnąłeś na drogę dobrą, ale to wszystko nic w porównaniu ze skarbem, jaki się mieścił w twojem błogosławieństwie i pocałunku ojcowskim! Zniżyłeś się do mnie, sieroty ubogiego, który nigdy żadnej pieśczoćoty nie znał! Przycisnąłeś mnie do serca. Od tej pory uczułem w sobie zmianę na lepsze, jakiś świat zupełnie nowy a piękny otworzył się przedemną.

Poznałem w sobie godność ludzką i, jeżeli w mojem późniejszym życiu były jakie dobre uczynki, jeżeli w sercu mem wyrosły i utrwały się przekonania i zasady uczciwe, to tylko dzięki temu pocałunkowi zacnego i szlachetnego człowieka.

Szedłem ścieżką po za ogrodem, przez łąkę, ku figurze, dumny, jak król, z piersią przepelnioną uczuciem radości. Łąka mi pachniała, promieniało słońce, a wszystko dookoła było takie piękne, takie jasne i uśmiechnięte, że mi łzy szczęścia wyciskało z oczu.

Rozpisałem się nieco obszerniej o tym momencie, gdyż był on jedynym punktem jasnym w mojem życiu szarem i powszedniem.

Milszych wzruszeń, rozkoszniejszych wrażeń nie miałem.

Raz tylko jeden, niby... ale to do rzeczy nie należy.

Przeszło, minęło i przebolane, przecierpiane, zagrzebałem na samym dnie serca.

Niech tam śpi snem wiekuistym —i śpi— ale ów pocałunek, złożony na czole sieroty, pozostał zawsze gwiazdą, która mi do samej śmierci przyświecać będzie.

Jużem cię od tego czasu nie widział, dobrodzieju mój szlachet-

ny, już kamienny krzyż na grobowcu twoim mchem obrósł, a ja cię zawsze pamiętam, kocham, czczę i modlę się za twoją duszę przezacną!...

Czy mam pisać dzieje pięcioletniego w szkołach pobytu? Po co? Dzień za dniem szedł jednakowo, bez urozmaicenia. Oprócz nauczycieli, którzy mnie uczyli języków, matematyki, nauk przyrodzonych, historyi etc., miałem niedostępną guwernantkę, pannę Biedę...

Ludzie unikają jej, a ja powiadam, że to nauczycielka nieoszacowana i, dalibóg, z jej szkoły niezgorsi wychodzą ludzie. Jej to zawdzięczam, że nie wstydzę się żadnej pracy, że nie znam grymasów, że lubię czarny chleb z solą i przepadam za kartoflami, że nie ciągnie mnie żadna zabawa, że szanuję grosz zapracowany i nie marnuję go na próżno.

Jej zawdzięczam, że jestem i panem i służącym, że potrafię sobie

doskonale oczyścić obuwie i ubranie, a nawet i naprawić uszkodzone. Zawsze miałem igłę z nicią w czapce, a szydło i dratwę w kuferku. Jak to się w razie złe przygody przydawało, jak się przydawało!

Kiedym, trzymając się ściśle poleceń kanonika, przybył do X. i oddał list prefektowi, los mój został odrazu ustalony—przyjęto mnie do klasy trzeciej i zacząłem chodzić do szkoły. Ciężko było z początku, ale prefekt mówił, że kto ma młode zęby, może i powinien gryźć orzechy. Gryzło się, gryzło i ostatecznie zgryzło klasę trzecią i czwartą.

Przez dwa lata u księdza prefekta mieszkałem i pożywienie mi u niego dawano; na trzeci rok wziął mnie do siebie pan Klepalski, nauczyciel łaciny.

Za uszy on darł zdrowo, ale poczciwy był człowiek.

Ksiądz prefekt powiedział, że takim dużym chłopom jak ja, darmo kaszy nie dają i że trzeba iść na swój chleb; że zaś właśnie profesor Klepalski, trzymając kilkunastu uczniów na stancyi, potrzebował dozorca i korepetytora dla malców z pierwszej i drugiej klasy—więc z tej racyi chleb się dla mnie znalazł.

Dostałem kąt w uczniowskiej sypialni, stare łóżko drewniane, stolik zamykany na klucz i objąłem zaraz obowiązki.

Przygotowywałem malców do lekcyj, towarzyszyłem im na spacer, pilnowałem, żeby się uczyli i nie zbijali bąków.

— Od szóstej rano—mówił pan Klepalski—do dziewiątej wieczorem masz tych smarkaczów nieodstępnie pilnować, za wyłączeniem godzin szkolnych; od szóstej do dziewiątej; a po za tem resztą czasu możesz dysponować, jak ci się podoba.

Korzystałem z tej wolności. Zimą porą uczyłem się swoich lekcyj do godziny dwunastej, a do szóstej rano spałem; latem zaś, dla oszczędności świecy, kładłem się spać o dziewiątej wieczór, a robiłem lekcye od trzeciej rano do szóstej.

Za zajmowanie się malcami i za korepetycye, dostawałem, jako się rzekło wyżej, kąk umeblowany i zimową porą ogrzewany, jadło wraz z uczniami, cztery razy dziennie, a oprócz tego miałem opierunek i w gotówce, na garderobę, ośmnaście złotych miesięcznie.

Nie mogę powiedzieć, że mi było źle, tem więcej, że miało się i uboczne dochodziki; za pisanie ćwiczeń, robienie zadań i tym podobne przysługi, jakich zwykle zamożni chłopcy potrzebują od ubogich kolegów.

Nie taję, że i pewien fundusik mi się wiązał, niewielki wprawdzie,

aleć zawsze taki, że po skończeniu szkół, miałem za co sprawić sobie cywilne odzienie i jeszcze co nieco w kieszeni pozostało.

A kiedym owe szkoły skończył, kiedym patent dostał i kiedy pan Klepalski mi powiedział, że świat stoi przedemną otworem, to doprawdy zrobiło mi się tak jakoś głupio i tak pusto, że m się o mało nie rozplakał ze strachu.

Nie cofam wyrażenia—ze strachu.

Nie przeczę, że świat otworem przedemną stał, ale doprawdy za- nadto otworem. Jabym wolał być jedną furteczkę maleńką, jedną ścieżynkę, po której przeszedlbym sobie powoli i spokojnie, a tu wrota otwarte na wszystkie cztery strony—idź, dokąd chcesz i wybieraj co chcesz.

Inni to lubią, ja nie.

Gdyby żył ksiądz Maciejowski, udałbym się do niego; onby mi rady nie poskapił, onby krokami mojemu pokierował—ale niestety,

już tego nieoszacowanego, tego prawie świętego człowieka, na świecie nie było.

Zadumany, zakłopotany, poszedłem za miasto, myśląc, że może na świeżem powietrzu, z tchnieniem wiatru, jaka myśl do głowy napłynie.

Szedłem przed siebie, aż nagle usłyszałem za sobą wybuchy śmiechu; zgromadka wesołych kolegów doganiała mnie, wołając:

— Melchior, Melchior!



**Rozdział trzeci, z którego widać,
że w braku rady poważnej, przy-
da się i rada pustaków.**

— Melchior!

— Słucham.

— I coż ty myślisz?

— Nic.

— Ha, ha, ha! Jeżeli po to cho-
dziłeś tyle lat do szkół, to po-
proś dyrektora i belfrów, żeby ci
zwrócili pieniądze i wynagrodzili
za czas stracony.

— Niby z jakiej racyi?

— Paradny jesteś! Z takiej ra-
cyi, że myśleć nie umiesz.

— Przepraszam, umiem.

— A nie myślisz.

— To co innego. Nie myślę, bo
nie wiem, o czym mam myśleć
i z którego końca zaczynać. Dali

mi patent i powiedzieli, że świat dla mnie otwarty. I cóż ztąd, że otwarty, kiedy ja nie wiem, dokąd iść.

— A jednak poszedłeś za rogatki.

— To tylko na przechadzkę. I wy zapewne nie w innym celu.

— Naturalnie; wyprawimy sobie wspaniałą czerwcówkę i podwieczorek na Rozdrożu... Spodziewam się, że i ty z nami?

— Nie wiem, czy wypada.

— Oszalałeś! Co nie wypada nam, dorosłym ludziom, mężom dojrzałym, ostemplowanym, opatentowanym? Czy się tobie zdaje, że przyjdzie Klepalski wytargać cię za uszy, albo że stary Rosenmiller powie: Oach, aoch! Pfuj! My wyszliśmy już z tych pieluszek, jesteście ludzie. Czuj-że w sobie tę swobodę, mólu zasuszony w najobrzydliwszej edycji Tacyta. Otrząśnij się!

I porwali mnie, jak wiatr porywa drobny listek i unieśli z sobą, jak wzburzona fala unosi liche wiórek i śmieli się przytem tak, jak tylko śmiać się może dziesięciu ośmnastoletnich chłopaków.

Ja dałem im się unieść, dałem porwać, śmiałem się wraz z nimi i śpiewałem „Gaudeamus“, chociaż z czegóż było się cieszyć nadzwyczajnie? Jedliśmy, piliśmy, paliliśmy papierosy, aż do zawrotu głowy. Kiedy już nacieszyliśmy się swobodą, kiedy z głów wyszumiało i wietrzyk wieczorny je orzeźwił, zaczęła się rozmowa o przyszłości.

— No, i cóż ty zamierzasz zrobić z sobą nadal?—zapytał mnie kolega, najstarszy z nas wiekiem, niejaki Tomasz T, syn włościanina z pod X.

— Otóż to, że nie wiem—odrzekłem. — Myślałem, zastanawiałem się i nie mam pojęcia, w którą stronę się obrócić.

— Ciężki jesteś do namysłu, inni bo postanowili już. Dziewięciu z nas do uniwersytetu idzie. Jaś, Wicek, Szymon, Karol i ja na medycynę, czterej zaś na wydział prawny. Będziemy lekarzami, oni adwokatami i dobrze. Jedź i ty z nami.

— Jeżeli mi tak radzisz, to pojedę.

— Na medycynę?

— To mnie, co prawda, nie nęci.

— Więc wal na prawo!

— Zobaczę, namyślę się. Kiedyż się zjeżdżamy?

— Naturalnie, po wakacjach; gdzież ty czas wakacyjny przepędzisz?

— Jeszcze nie wiem.

— To ja ci poradzę. Szymon podjął się przygotować dwóch chłopaków do szkół, tu w X., ale że mu się trafia lepsza kondycja na wsi, więc radby pierwszą komuś odstąpić. Bierz, zarobisz sobie

na podróż i na opędzenie pierwszych dni w Kijowie.

Musiałem przyznać, że rada jest słuszna i na drugi dzień objąłem obowiązki w domu dość zamożnych ludzi. Dano mi osobny pokojik na górze, tytułowano już „panem“.

Wziąłem się do bębnow gorliwie i, sumiennie to mogę powiedzieć, że czasu nie traciłem darmo. Wakacye przeszły szybko, zapłacono mi należność i razem z Tomaszem pojechaliśmy w świat. Ma się rozumieć, że przed odjazdem pożegnałem wszystkich nauczycieli, a w szczególności księdza prefekta i pana Klepalskiego.

Ten ostatni rzekł do mnie w chwili rozstania:

— To miej zawsze na pamięci, że „kto umie po łacinie, w świecie nie zginie“. Bardzo piękne zdanie! Umiejętność tego języka, jak się przekonałem później, daje człowiekowi możność powtarzania

reguł gramatycznych i wyjątków aż do śmierci, co przynosi umiarkowane zyski materialne i pewną sumę przyjemności moralnych.

Ostatecznie, po dojrzałym namyśle, zapisałem się na wydział filologiczny...

Opuszczam kilka rozdziałów pamiętnika, gdyż są one bardzo długie i więcej poświęcone filologii aniżeli osobie naszego bohatera. Postaram się opowiedzieć treściwie główne szczegóły.

Uczęszczając na kursa przez lat cztery, nieboszczyk czwarty utrzymywał się z lekcyj i przepisywania kursów. Przynosiło mu to tyle dochodu, że nie umarł z głodu wspomina jednak kilkakrotnie w pamiętniku, że monety było bardzo obrzednio i że kiedy czytał o ucztach Lukullusa, to pomimowoli przychodziły mu na myśl obiady u profesora Klepalskiego, kluski z kartofli u organicy i ów przepyszny ser, który

jadł onego czasu, podczas odpoczynku na drodze z Patyków do X., gdzie była karczemka w lesie i taka znakomita woda w studni przy karczemce...

Każdy człowiek ma jakieś wspomnienia rozkoszne.

Skończywszy uniwersytet, dowiedział się znowu, że ma przed sobą świat otwarty i że może iść, dokąd mu się tylko podoba.

Podobało mu się wrócić na swoje stare śmiecie—i wrócił, w tem mniemaniu, że jako człowiek z kwalifikacją, powołany zostanie do jakichś obowiązków. Tymczasem nie powoływał go nikt, a natomiast trafiały się różne obowiązki chwilowe. Korepetycyja, zastępstwo, wyręczanie kogoś, i na tych czynnościach chwilowych, na takim zabijaniu czasu, w pracy za drugich i dla drugich, zeszło mu lat kilka.

Oburzał się na niego Klepalski, gniewał, na świat gwałtem prawie wypychał.

— Bądź-że już raz czemś... bądź nareszcie samodzielnym, nie zaś wiecznym wyręczycielem i zastępcą..

Łatwo to mówić!

Dziwna rzecz, mówił nieraz w duchu nieboszczyk czwarty, taki Klepalski, łacinnik doskonały i człowiek doświadczony, nie wie o tem, że wszystko zależy od szczęścia. Jedni ludzie je mają, jednym wszystko samo idzie do ręki, drugim wcale nic nie idzie. I tego Klepalski zdaje się nie wiedzieć, że muru głową przebić nie można i że wreszcie, kto ma jakie takie utrzymanie, ten nie powinien narzekać, gdyż są nieszczęśliwi, którzy wcale utrzymania nie mają i nie potrafią przytem odróżnić strony czynnej od biernej.

Pomimo oporu ze strony nieboszczyka czwartego, Klepalski tyle dokazał, że go nareszcie wypchnął do Warszawy i wymógł na nim słowo, że nie ustanie

w zabiegach, dopóki sobie stanowiska odpowiedniego nie znajdzie.

Pojechał tedy pan Melchior i przekonał się, że są trzy gatunki posad na świecie, a mianowicie: takie które nie wakują, takie, które wakowały, ale tykoco zostały obsadzone i wreszcie posady wakujące, o które ubiega się kilkudziesięciu kandydatów jednocześnie.

Kilkudziesięciu! Jest to, bądź co bądź tłok, a pan Melchior w tłoku przepychać się nie umiał, był to bowiem człowiek delikatny i ustępował z drogi każdemu.

Pragnąc atoli dogodzić Klepałskiemu, załatwił formalności i został nauczycielem prywatnym. Nie znaczy to, żeby już objął posadę nauczyciela prywatnego w jakiej szkole, ale posiadał na to wszelkie kwalifikacye. Mógł mieć bilety wizytowe i tabliczkę na drzwiach mieszkania, ozdobioną tym tytu-

łem i zapisywano mu ten tytuł w księgach meldunkowych.

I to ma swoje znaczenie i to jest do pewnego stopnia pociechą, gdyż są ludzie, którzy żadnych tytułów nie posiadają, Był-by nieboszczyk czwarty dostał napewno posadę nauczyciela w jakiej szkole prywatnej, ale nie miał nikogo, ktoby za nim przemówił, a że sam za sobą mówić nie umiał, przeto go posady mijały.

Nie powiem, żeby mnie to bardzo dotykało—pisze w swoim pamiętniku—i w ogóle, żeby mnie tego rodzaju niepowodzenie bolało. Przyzwyczajony mieć zawsze do czynienia z jednym lub z dwoma uczniami, może bym sobie nie dał rady z klasą. I istotnie, zdarzało mi się kilka razy być zaproszonym na zastępstwo nauczyciela historii powszechnej, na pensyi żeńskiej i zawsze w takich wypadkach, wchodząc do klasy, czułem się do pewnego stopnia żenowany i mu-

siałem dobrze skupiać myśli, żeby prowadzić wykład, jak należy.

Tyle par oczu wytrzeszczonych, tyle szeptów i uśmiechów, o ile można mniemać, złośliwych i skierowanych „ad personam“, wreszcie owa sztywna dama klasowa, którą porównywałem w myśli do marynowanej Minerwy, wszystko to powiadam, sprawiało mi dystrakcję.

Ostatecznie bez chleba nieboszczyk czwarty nie był; lekcye w domach prywatnych, korepetycye, dawały mu tyle, że opędzał skromne swoje potrzeby, puszczał się nawet, jak pisze, na zbytki. Zawiązał znajomości, miał swoją partyjkę preferansa, kilka razy tygodniowo grywał w szachy w cukierni, a raz na miesiąc rozkoszował się dźwiękami opery, lub podziwiał piękności utworów dramatycznych z wyżyn paradyzu.

Lata schodziły, niewiadomo kiedy — pan Melchior przygarbił się

niecو, posiwiał, oczom musiał dać okulary i zaczął zażywać tabakę, co, wedle zdania osób kompetentnych, działa w sposób odświeżający na umysł.

Za tabaką przyszła czerwona chustka kraciasta, nieco abnegacyi w sposobie ubierania się—i powoli zacny Melchior przybrał wszystkie specjalne cechy typu.

Jest w pamiętniku rozdział jeden o sercowych cierpieniach. Dotyczy on tego momentu życia, w którym nieboszczyk czwarty tabaki jeszcze nie zażywał i okularów nie nosił.

Był to rodzaj sielanki, pełnej prostoty i wdzięku, lecz powtórzyć go nie mogę, a to wskutek wyraźnego żądania pana Melchiora, który nie chciał wzbogacić świata jednym dowodem więcej, że charakter kobiecy jest przewrotny, uczucia niestałe, a zmienność do najwyższego stopnia rozwinięta.

Mam-że naruszyć wolę zacnego pedagoga? Nie uczynię tego za nic w świecie. Płocha wietrznica nie doczeka się rozgłosu, a zasłużoną karę za zranienie kochającego serca znajdzie we własnem sumieniu, „które oby ją od czasu do czasu kolnęło“.

Powtarzam dosłownie tekst przekleństwa, jakie rozżalony filolog rzucił na piękną, młodą, a już przecież tak przewrotną, głowę zdrajczyni.

Zapewne straszny ten piorun zsunął się po przyprawnym warokoczu wiarołomnej i nie zdruzgotał jej na miejscu.



Rozdział czwarty, w którym wspomniany jest poważny myśliciel, b. p. Tobiasz Tupet i opisana przygoda, jaka się rzadko filologowi trafić może.

Powracamy znowu do pamiętnika.

„Był u pisarzy starożytnych piękny i godzien uznania obyczaj, że dzieła swe rozpoczynali od inwokacyi, zwróconej, bądź to do Muzy, bądź do którego z bogów Olimpu, bądź wreszcie do osoby, wybitne zajmującej stanowisko.

Ja się tego zwyczaju nie trzymałem; raz, że wydało mi się rzeczą mniej przystojną pospolite dzieje zwykłego śmiertelnika ubierać w formę klasyczną, a powtóre, że nie władając dość biegle wiązaną mową bogów, nie miałem

odwagi puścić się na poezyi flukta rozbujałe. Niniejszego atoli rozdziału bez apostrofy pozostawić nie mogę, a choć uczynię ją w zwykłej, niekunsztownej formie, jednak dogodzę potrzebie serca, które się gwałtem o tę inwokację dopomina.

O! Tobiaszu Tupecie, który po długim i pełnym rozmyślań żywocie odszedłeś w krainę cieniów! O Tobiaszu! mężu skromny i za szerokim nie goniący rozgłosem, jakże żałuję, że nie doczekałeś rozwiązania zagadki, która nas obu w swoim czasie zajmowała i była nieraz przedmiotem naszych myśli. Czy pamiętasz, o cieniu wspaniały! jak nieraz, skończywszy partję szachów, zastanawialiśmy się nad pytaniem: „Co ją do tego skłoniło?—i wówczas to inteligencya twoja, o Tobiaszu! i umysł mój własny znajdowały się chwilowo na jednym poziomie Tyś nic nie wiedział, i ja nie wie-

działem, tyś nie mógł się domyśleć i ja nie mogłem również i byliśmy obaj, niby tabaka w rogu, a to koleżeństwo ciemności, ta wspólność zajmującej nas zagadki, zamieniła się w węzeł przyjaźni, na nici duchów naszych zadziergnięty.

Czy pomnisz, o Tobiaszu! chwile, spędzane pod lipą w ogrodzie, lub przy kominku w oficynie, gdzie skromny zajmował pokój? Przed sobą mieliśmy szachownicę, ale ileż to razy myśli nasze odbiegały od niej i, niby ptaki, unosiły się do wyżyn abstrakcyi, pławiły w atmosferze niedocieczonych zagadnień?

Jam twoich mistrzów nie znał, o Tobiaszu! tyś o moich nie słyszał nigdy w życiu, a przecież znajdowaliśmy pewne punkta, na których twoi i moi schodzili się w jak najlepszej harmonii. A zawsze, Tobiaszu nieodżałowany, kiedyśmy użyli do syta szachów

i gimnastyki umysłowej w eterycznych wyżynach abstrakcyi, przeszywała nas strzała pytania: „Co jej pó tem?”—i spadaliśmy obaj na ziemię, na ten padół płaczu, na pole zbożem dojrzewającym wysrebrzone, na łąki woniejące, na lasy i patrzyliśmy sobie w oczy i pytali: „Co jej po tem?”

I ty nic nie wiedziałeś i ja także—i byliśmy obaj ciemni.

O Tobiaszu Tupecie, przyjacielu mój! dla mnie ta zagadka przestała już być zagadką, ale ciebie zabrał nieubłagany anioł śmierci, wprzód nim się nasza wyjaśniła wątpliwość!

Dlaczego też cieniom twoim przypisuję ten rozdział.

Mówiłeś mi niegdyś, że duch ludzki, niby zapalona łojówka szabasowa, wysyła z siebie naokoło promienie... może więc promyk mego ducha, drobniutki i cienki, jak przędza pajęcza, spotka się z ducha twego oślepiającą jas-

nością, zespoli się z nią i w szeregu drgań eterycznych, w nieujętej mowie światła, w owym języku ognistym, o którym mówiliśmy tyle w swoim czasie, wyśpiewa ci odpowiedź na owo męczące pytanie: „Co jej było po tem“?

Była godzina dziewiąta rano, dzień piękny, słoneczny, miesiąc sierpień u schyłku.

Siedziałem w swoim mieszkanku, na trzecim piętrze, pod strychem prawie, i piłem herbatę, która stanowi, wraz z dwiema bułkami, mój zwykły posiłek poranny, gdy naraz usłyszałem trzeszczenie schodów i ciężkie kroki.

Tylko hipopotam, lub tapir mógłby podobny efekt ciężkimi stopami wywołać, ale cóżby takie zwierzę gruboskórne mogło mieć za interes do filologa? A przecież do mnie, gdyż schody wyłącznie do mojej prowadziły izdebki.

Jakoż do mnie.

Otworzył drzwi nagle i wszedł, schyliwszy się w nich, mężczyzna wzrostu ogromnego, o karku bawolim, ogorzały na twarzy, z wąsami, jak pęk konopi. Wszedł i odrazu, głosem, któryby umarłego mógł przebudzić, ryknął:

— Czy zastaję pana Melchiora Kurkiewicza?

Dałem mu do zrozumienia, że w samej rzeczy ja noszę to nazwisko i przeprosiłem go za mój strój negliżowy. O tej bowiem godzinie używałem zazwyczaj szlafroka, co mi, ze względu na moje lata i zdrowie, niezbyt osobliwe, wybaczonem być winno.

— Ja tam nie jestem panna — odrzekł opryskliwie.

Nie mogłem znaleźć nic do nadmienienia przeciwko tej uwadze i zapytałem, z kim mam honor?

— A to, panie kochany, honor honorem, a interes interesem. Jeżeli panu o to chodzi, to ja się nazywam Biernacki, na imię mi

Michał, jestem rządcą z Woli, od pana sędziego Kwiecińskiego i, niech mnie wściekłe psy zjedzą na śniadanie, jeżeli kiedy widział takie podłe schody, jak te, które do pańskiej ciupy prowadzą.

Przykro mi to dotknęło, albowiem mieszkanie moje ciupą nie jest bynajmniej, a są ludzie, którzy mieszkają w gorszych.

— Czemże służyć mogę? — zapytałem.

— Przychodzę w interesie. Wszak to pan afiszowałeś się w „Kuryerze“?

— Ja się afiszowałem? Co pan mówi?

— Toż stoi wydrukowane: Pedagog oto, doświadczony... oto, jak byk, panie dobrodzieju!

— O, panie, co innego jest afiszować się, a co innego ogłaszać, że się daje lekcye.

— E! kochany profesorze, to głupstwo! Jak zwał, tak zwał, aby co dał. Krótko i węzłowato!

Mój dziedzic wyczytał ten afisz, czy, jak się panu podoba, ogłoszenie i polecił mi nie wprost, ale boczkami, stronami, przewąchać, co z pana za ptak?

— Przewąchać? Com za ptak?

— A cóż pan chcesz, przecież trudno brać do domu człowieka, o którym się nic nie wie. Może być jaki kryminalista, bo, proszę pana, czy to teraz mało różnego łajdactwa na świecie? Więc przewąchałem i dowiedziałem się, że jest z pana facet uczciwy. Obecnie przychodzę w imieniu dziedzica, który sam przyjechać nie może, bo mu artretyzm piekielnie w nodze dokucza, przychodzę tedy, aby panu zaproponować posadę...

— Na wsi?

— A cóż to pana ma przerażać? Na wsi też ludzie mieszkają i po równej ziemi chodzą, nie po takich schodach łajdackich, jak pańskie. Otóż, krótko mówiąc, bez

żadnych ceregielów, prosto z mostu: trzydzieści rubli na miesiąc, pokój z opałem i usługą w oficynie, stół we dworze i wszystkiego po same uszy. Życzę brać. Będziesz pan miał dobrze, co się nazywa. Dziedzic nudziarz, bo nudziarz, ale niezgorszy człowiek; ona zacności kobieta, dom zamożny i wszystko pana dojdzie w swoim czasie, a jakbyś się pan chciał ożenić, to przerzucim pana na ordynaryę i damy morgę gruntu pod kartofle, że choćbyś pan miał dwadzieścia i czworo dzieci, to wszystkiego nie zjesz i jeszcze ze dwa wieprzki upasiesz co roku.

Ewentualność pobierania owej ordynaryi i wypasania wieprzków wydała mi się dość dziwna i nieprawdopodobna.

Zachowałem tę uwagę przy sobie i zapytałem:

— I cóż mam za to robić?

— A no, cóż nauczyciel robi? Będziesz pan uczył.

— Czego mianowicie?

— Podobno tylko łaciny.

— Specjalnie?

— Dyabli wiedzą; dziedzic nic nie mówił, ale zdaje się, że specjalnie.

— W jakim wieku chłopczyk?

— Któż panu powiedział, że chłopczyk?

— Domyślam się.

— A toś pan trafił, jak kulą w płot! Właśnie, że dziewczyna.

— W jakim wieku?

— Czekał-że pan... Jak ja nastąpiłem do Woli, miała blisko dwa lata i łąziła po trawie, jak robak. Ja jestem tam szesnaście, właśnie się na święty Jan skończyło — więc podług prostego rachunku, ma pannica teraz pod ośmnaście...

Przyszła mi do głowy myśl przerażająca, czy czasem ten mniemany rządcą nie jest szaleńcem. Wobec jego wzrostu i postaci niedźwiedziej, tudzież wobec mo-

jej szczupłej kompleksyi, byłaby to sytuacja zaiste niebezpieczna.

Zdobyłem się na odwagę i zapytałem nieśmiało:

— Czy też pan dobrodziej nie mieszkał kiedy w Warszawie, przy ulicy Bonifraterskiej?

Usłyszawszy to pytanie, gość mój wybuchnął szalonym śmiechem. Tupał nogami, uderzał się rękoma po bokach, a policzki jego, usta, broda, nos, czoło — wszystko to ruszało się współcześnie. Jak żyję, nie widziałem wybuchu takiej niepohamowanej wesołości i wróżyłem sobie, że nic z niej dla mnie dobrego wyniknąć nie może.

Naśmiawszy się do woli, olbrzym, z wielką poufałością, jakbyśmy się znali oddawna, położył mi ogromne swe ręce na ramionach i rzekł:

— A niechże pana kule biją! Tom się uśmieł serdecznie! Pan mnie brałeś za deztertera od

Bonifratrów i zbladłeś, jak kreda, ze strachu. No, uspokój się, dali-bóg, przy zdrowych zmysłach jestem i nie zjem pana. Kończmy interes i chodźmy na flaki, bom taki głodny, żebym konia z kopytami pożarł. No, drogi panie, po co tu się namyślać? Pewnie się u pana nie przelewa, a miejsce doskonałe. Brać i Bogu dziękować, że chleb daje.

— W każdym razie, ja się bardzo dziwię...

— Czemu?

— Żeby taka panienka... Co jej po tem? Chyba może na medycynę chce iść.

— Ja nie wiem. Chce, to chce, może tak sobie, dla fantazyi.

— Dla fantazyi, toby było szczególne.

— Panie! co pan za gadanie opowiada? Jedynaczka, pięćdziesiąt włók takiej ziemi, że sadź cebulę od skiby do skiby, las, jak drut, łąki nadrzeczne, z których siano

panna w tyfusie-by jeść mogła, jezioro, inwentarz, budynki, a podobno stary i kapitalik ma... Jeżeli tedy taka nie może mieć fantazyj, to kto, u diabła, mieć je będzie?... Chce się uczyć łaciny, niech się uczy. No, nie?...

— Zapewne.

— No, więc dawaj pan rękę i zgoda!... Oto pieniądze na koszta podróży, na kupno książek potrzebnych i zarazem zadatek dla pana. W preferansa pan grywasz, ma się rozumieć.

— Grywam niekiedy.

— I zapewne dobrze!

— Tak sobie... to zależy... Jak karta idzie, to się co nieco wygra, jak nie idzie, to się cokolwiek przegra.

— Skromny z pana człowiek i nie lubiący się chwalić, a ja właśnie słyszałem od kilku ludzi, że pan grasz, jak z nut.

Próbowałem protestować, gdyż bynajmniej za dobrego gracza się nie mam, ale rządca mówić nie dał, wcisnął zadatek do ręki i zapowiedział, że za tydzień przyjedzie po mnie na stację kolei.

Nigdy jeszcze w życiu mojem nie zdobyłem się na tak szybką decyzję.

— A teraz — zawołał wesoło — ściągaj pan z siebie ten zatabaczony szlafrok i jazda na flaki!

Zauważyłem w duchu, że styl pana rządcy, aczkolwiek zaprzeczyc nie mogę, że jasny i dosadny, nie był wykwintny, co do flaków zaś, ośmieliłem się zrobić uwagę, że dopiero dziesiąta.

— A to właśnie sam czas! — odrzekł — o suchej gębie do domu nie pojedę, a choć się na każdej stacyi coś przetrąci i, choć mi żona do torby trochę prowiantu na drogę włożyła, jednak porządnie jesć będę dopiero koło północy.

Widzisz pan tedy, że muszę założyć jakiś lekki gruncik, to bardzo głodnym być nie lubię.

Założył też!

Ja patrzyłem i podziwiałem. Zjadł, jedna po drugiej, trzy porcy flaków, do tego ośm bułek. następnie całą porcyę befsztyku z kartoflami i na zakończenie ze ćwierć funta sera z kminkiem, zakropił to kilkoma butelkami piwa i wyraził się hypotetycznie, że do pierwszej stacyi kolejowej z głodu prawdopodobnie nie umrze.

Co do mnie, obawiałem się, żeby nie umarł z przesycenia.

Później, gdy objąwszy już obowiązek, mieszkałem na wsi i poznałem normalny tryb życia tego człowieka, przyszedłem do przekonania, że apetyt jego nie ma bynajmniej charakteru zjawiskowego, lecz jest do pewnego stopnia normalny.

Uporządkowałem swoje interesa, załatwiłem sprawunki i w tydzień

po wizycie pana rządcy wsia-
dłem do wagonu.

Co mnie czeka na wsi? Jaka
będzie ta nowa życia mego faza?



Rozdział piąty, o tem, jak uczennica przywitała swego mistrza i jak mistrz tłumaczył uczennicy, że, ani supinum nie jest burnusem, ani gerundium rotundą.

Ponieważ wyjechałem z Warszawy pociągiem nocnym, więc przybyłem na stację, wskazaną mi w marszrucie przez Biernackiego, o godzinie dziewiątej rano; szczęśliwie i bez żadnego wypadku.

Rządca oczekiwał na mnie. Gdy pociąg wchodził na stację, ujrzałem, jak stał na peronie. Było to bardzo grzecznie z jego strony i uprzejmości tej nie zapomnę mu nigdy—gdyż sam jeden w obcym miejscu możebym sobie nie poradził.

Przywitał mnie kordyalnie, z pewną poufałością, jak dawnego znajomego i odrazu zaprosił do bufetu, żeby, jak mówił, „wstawić“ coś gorącego.

Sądziłem, że się ta alegorya odnosi do herbaty, ale gdzież tam! Uprzejmy mój amfitryon zawczasu kazał przysposobić dwie porcyce kotletów, które nie bez apetytu spożyłem, dziwiąc się, że człowiek może jadać tak rano.

Trzy konie porwały leciutką bryczkę i pociągnęły ją pędem wielkim po gościńcu. O godzinie dwunastej, w samo południe, stanęliśmy przed dworem.

W drodze jeszcze uprzedzony byłem przez mego towarzysza, że chlebowdawca, a raczej pracodawca mój, nigdy w swoim życiu coś sądził, i że z tej racji, wszyscy tytułują go sędzią, co też i mnie czynić wypada; że, co jest konsekwencyą, wynikającą z powyższego, żonę sędziego należy tytu-

łować sędzią; a panienska zaś nosi imię Wandy.

Dowiedziałem się również, że państwo sędziostwo wyjechali i z powrotem spodziewani są dopiero koło wieczora i że, na skutek tego, przedstawiony będę najpierwej mojej uczennicy, co się też stało.

Zaprowadzony byłem do małego saloniku, o dużem oknie weneckiem; pełno tam było kwiatów i światła, ślicznej słonecznej jasności.

W takim oświetleniu przepyszne i na tle dekoracyi z naturalnej zieleni, ujrzałem dziewczę, którą obowiązany byłem zapoznać z Cezarem, Tacytem i Wirgilim, co zaraz od pierwszego spojrzenia wydało mi się nieco trudnem.

Gdym wszedł, podniosła się z krzesła i stanęła wyprostowana, wysmukła, jak trzcina, aczkolwiek pod względem wiotkości nie śmiałbym jej do trzciny porównywać

Spojrzała na mnie bystro miodremi, pełnemi inteligencyi oczami, niby badając mnie. Trwało to sekundę. Potem po twarzy jej przebiegł cały szereg drgnień delikatnych, prawie że niepochwytanych dla oka — i z nich utworzył się uśmiech bardzo przyjazny i pełen życzliwości.

Podawała mi rękę i rzekła:

— Mam nadzieję, panie, że będziemy przyjaciółmi.

Wiem, że damom mówi się komplementa, skłoniłem więc głowę i rzekłem:

— Sługą pani już jestem.

— A panie, cóż znowu? Nauczyciel powinien być przyjacielem i doradcą, ale nie sługą. Gdy staniemy odrazu na tym gruncie, stosunek nasz dalszy ułoży się jak najlepiej. Rodziców moich nie ma w domu, wyjechali, ale dziś powrócą. Korzystam z ich nieobecności i pomówię z panem w cztery oczy. Ojczulek mój zwykle mawia,

że „clara pacta”... Czy dobrze powtórzyłam, panie?

— Doskonale.

— Otóż, jak panu wiadomo, ja się chcę uczyć po łacinie, a pan byłeś tak łaskaw, żeś się podjął być moim nauczycielem.

— Jeżeli zapytać wolno, jaki jest cel tej nauki?

— Do czasu pozostanie to moją wyłącznie tajemnicą.

— Szanuję cudze tajemnice, łaskawa pani, ale nie pytałem dla próżnej ciekawości; znając cel, do jakiego pani dąży, zastosowałbym do niego program wykładu.

— Podobno wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

— Do Rzymu zapewne; ale do medycyny inna, do filologii inna.

-- Ach Boże! Jakże ja się panu wytłómaczę? Na lekarza kształcić się nie chcę, biskupem zostać nie mogę; niech więc stanie na tem, że pragnę się uczyć jako amator-ka, dla własnej przyjemności.

— I jak daleko zejść pani w tej nauce zamierza?

— Jak najdalej.

— To bardzo daleko.

— A ileż czasu pragnie pani jej poświęcić?

— Czy na dzień?

— Nie, w ogóle.

— Bez ograniczenia, rok, dwa, trzy, pięć. To zależy. Nikt nas nie goni... Przez dwie godziny dziennie będę pańską pilną uczennicą, reszta czasu należy do pana. A propos... zapewne pan grywa w preferansa?

Zdziwiło mnie to pytanie. Czyżby ta łacinniczka „in spe” grywała także w karty? A może i tabakę zażywa?

— Grywam — odrzekłem — ale dlaczego pani o to pyta?

— Bo na wsi ta umiejętność jest prawie niezbędna.

— Więc i pani grywa?

— Nie; mówię, że jest niezbędna dla panów; ale wracajmy do

rzeczy. Lekcja będzie od dziesiątej do dwunastej. Zastanie mnie pan codziennie w tym pokoju. A może te godziny wolałby pan mieć dla siebie?

— A pani! cóż znowu? Kiedyż zaczniemy?

— Choćby zaraz. Ja panu zadawać będę pytania. Czy w samej rzeczy jest to język tak trudny jak mówią?

— Nie; jeżeli kto nie żałuje pracy, to mu idzie..

— A czy taki piękny, jak mówią.

— Ja nic piękniejszego nie znam.

Uśmiechnęła się trochę ironicznie.

— To pan chyba wielu rzeczy nie zna. A widział pan też kiedy las? gwiazdziste niebo? burzę? Słyszał pan śpiew słowika, szum wody? Czytał pan naszych poetów?

— Widziałem, słyszałem i czytałem.

— I cóż?

— Nie widzę dobrej racyi do porównań—odrzekłem — tamto co innego, łacina co innego. Tamto piękne w swoim rodzaju, to w swoim. Gdy się pani uczyć zacznie, a przypuszczam, że z zamiłowaniem, gdy pani bliżej pozna mowę starożytnych Rzymian, przyzna mi pani słuszność.

— Chciałabym jak najprędzej.

— Będziemy szli systematycznie, po szczebelkach, od najniższego ciągle do wyższych. Zaczniemy od abecadła, potem pójdą deklinacye, zaimki, liczebniki, następnie konjugacye, gerundium, supinum...

— Co pan powiedział?

— Gerundium i supinum.

— Cóż to jest?

— Dowie się pani z czasem.

— Ja sądziłem, że to rodzaj zwierzchniego okrycia, jakaś pelearyna, lub rotunda.

— Nie, łaskawa pani, nie pelearyna to, ani rotunda; po półroczu lub po trzech kwartałach wytrwa-

łej nauki dojdziemy do gerundium.

Uśmiechnęła się zagadkowo, a było w jej uśmiechu coś, co mi się niepodobało, jakaś złośliwość... może szyderstwo przelotne. Z czegoż ona szydzi? Czy z łaciny, czy ze mnie? Jeżeli z łaciny, to sama się na śmieszność naraża: jeżeli ze mnie, to... to ustąpię z tego miejsca. W każdym razie postanowiłem mieć się na baczności. Z chłopcem, wreszcie nawet z dwoma, z trzema, dałbym sobie rady, na małą dziewczynkę próbowałbym wpływać za pomocą łagodnej perswazyi, ale z taką panną!..

-- Jeździ pan konno?— zapytała nagle.

— Jak żyję, nie siedziałem na grzbiecie tego użytecznego, ale zarazem i niebezpiecznego zwierzęcia.

— To szkoda, ale mam nadzieję że się pan nauczy.

— Ja? A w jakimżeby celu?

— Choćby dla naszego towarzystwa. Nie będzie pan chyba zamykał się w swoim pokoju, jak odludek, ale zechce przyjmować udział w naszych wycieczkach i rozrywkach. Zapewne wiośłuje pan dobrze?

— Bynajmniej. Ze wstydem przyznaję, że i w sztuce nawigacyi biegły nie jestem. Uczyłem się i uczyłem innych wyłącznie na lądzie.

— To będziemy zabierali pana jako balast, to jest, przepraszam— rzekła zarumieniona — źle się wyraziłam, jako towarzysza.

Skłoniłem głowę w milczeniu, nie dając poznać, że porównanie do balastu sprawiło mi niejaką przykrość. Panna indagowała dalej.

— A grywasz pan w wolanta, w kroieta?

— Pojęcia o tem nie mam.

— Więc w cóż pan grywasz?

— W szachy, łaskawa pani, i to, pochlebiam sobie, nieźle;

nadto w karty, w niedrogie gry komersowe.

— Grywa pan w szachy, to bardzo dobrze; jest ktoś, co się z tego ucieszy.

— Amator?

— Zapalony i podobno gracz dobry; nasi panowie nie chcą z nim zasiadać do szachownicy, uważają go albowiem za zbyt silnego przeciwnika.

— Któż jest ten pan?

— Nazywa się Tobiasz Tupet.

— Pierwszy raz słyszę podobne nazwisko i przypuszczam, że człowiek, który je nosi, jest pochodzenia cudzoziemskiego.

— Jest to żyd, zobaczy go pan zapewne niedługo, gdyż sądzę, że nieomieszka przedstawić się panu.

Rozmawialiśmy jeszcze z kwadrans o rozmaitych przedmiotach, o zabawach, o łacinie, o Tobiaszu; wreszcie pożegnałem moją uczennicę i poszedłem do oficyny, ażeby w nowem mojem mieszka-

niu uporządkować książki i drobne ruchomości i zaprowadzić w niem ład, do jakiego zawsze byłem przyzwyczajony.

Czynność ta zabrała mi kilka godzin czasu. Gdym ją skończył, poproszono mnie do dworu.

Sędzia, był to mężczyzna, co się nazywa okazały, wysokiego wzrostu, dobrej tuszy. Siwy już, miał poważny wyraz twarzy i długie, zawiesiste wąsy. Pani sędzi-
na, szczupła i niewysoka, miała powierzchowność bardzo sympatyczną, a na twarzy jej malował się wyraz wielkiej dobroci.

Przyjęli mnie nietylko grzecznie, ale przyjaźnie i przyznają, że to odrazu ujęło mnie za serce.

Wieczorem przyszedł proboszcz i przyjechał pan Dukszner, cichy jakiś człowieczyna i bardzo mało mówiący. Jak się dowiedziałem później, był to bliski sąsiad pana sędziego i prawie codzienny gość. Miał on mająteczek o dwie wior-

sty ztąmąd, ale sam nie zajmował się już gospodarstwem. Prowadził je zięć, sam zaś pan Duk-szner dał sobie, jak mówił, emeryturę, to jest czytywał gazety i codziennie prawie stawiał się na partyjkę u sędziego.

Gdy się już wszyscy zebrali, sędzia powiedział, że szkoda czasu, który, według angielskiego przysłowia, wart jest tyle, co pieniądze.

Szanując mądrość angielskiego narodu, zasiedliśmy bezzwłocznie do stolika.

Ma się rozumieć, zrobiłem z góry zastrzeżenie, że drogo nie grywam i grywać nie mogę. Moi partnerzy przyjęli je wybuchem śmiechu.

— A dobrodzieju, słusznie czynisz — rzekł ksiądz — że się drogiej gry obawiasz, ale trafiłeś właśnie na ludzi, którzy drogich gier nie cierpią. Jeżeli gramy, to nie dlatego, aby się zgrywać nawza-

jem, lecz aby przyjemnie czas przepędzić.

Potwierdził to sędzia i pan Dukszner i tak oto utworzyła się partyjka, wcale dobrze dobrana. Żadnemu u nas nie chodziło o zyski, lecz o kombinacye i rozrywkę.

Przytem szła gawęda, co się zowie. Pan Dukszner miał świeże wiadomości, trzymał kilka gazet i prawił o polityce, jak wytrawny dyplomata.

Ksiądz miał zawsze pogodny humor i rozweselał towarzystwo; sędzia, o ile mu artretyzm nie dokuczał, opowiadał rozmaite i bardzo zajmujące niekiedy wspomnienia i epizody z dawnego życia towarzyskiego.

Człowiek ten był jakby żyjącą kroniką okolicy i to nawet szerokiej; znał wybornie wszelkie kolidacye i stosunki rodzinne swojej sfery, wiedział: kto z kim jest

w jakim stopniu pokrewieństwa, a daty wszelkie wybornie pamiętał.

Był to człowiek, aczkolwiek niemłody, jednak w całej sile życia, tylko owo cierpienie nieznośne, które czasem po kilka miesięcy przykuwało go do miejsca, kwaśiło mu humor i odbierało wesołość, jaką miał z natury.

Książdz, domator ogromny, od piętnastu lat wybierał się, z porady lekarza, do Karlsbadu, ale wybrać się nie mógł i wyjazd z roku na rok odkładał. Pan Dukszner leczył się w domu kamforą i wręcz twierdził, że tylko ten jeden cudowny środek podtrzymuje życie ludzkie, a wszelkie wody są wierutnem głupstwem, wymyślonem przez lekarzy, na użytek złotych młodzieńców, goniących za posagiem i panien, które pragną wydać się za mąż bogato.

Jeden tylko sędzia co dwa lata odbywał podróż do Trenczyna, na Węgry, do gorących źródeł, ale

uważał to sobie za ciężką pańszczyznę i po dwumiesięcznej nieobecności wracał do domu, jak do raju.

Jak mi opowiadał Tobiasz Tupet, sędzia zawsze, mniej więcej na tydzień przed powrotem do domu, pisywał do Biernackiego, żeby się postarał o dobrego i pewnego w nogach konia.

„Ponieważ — pisał — czuję się lepiej na zdrowiu, przeto chcę trochę się rozruszać i codziennie mam zamiar gospodarstwo obejrzeć“.

Biernacki zaraz udawał się na jarmark, lub do znajomych i szkapę spokojną dla sędziego kupował. I po każdym powrocie z Trenczyzna ta sama historia się działa.

Sędzia wybierał się w pole; chodził po pokoju wyprostowany, dowcipkował, kazał sobie podawać pamiątkową szpicrutę, którą przed laty, od pewnego, bardzo znakomitego generała dostał.

Wychodził potem na ganek, popatrzył, popatrzył na konia i mówił do rządcy:

— Wiesz, Biernasiu, szkapa zdaje się dobra, ale dziś wyjątkowo każ zaprządz do bryczki; obawiam się żeby od konnej jazdy nie wrócił mi ból.

Takie wyjątkowe dni bywały codzień do jesieni, w jesieni znowu wilgoć, zimą mróz, wiosną chlapanina.

Wierzchowiec szedł do brony, a sędzia od czasu do czasu objeżdżał gospodarstwo na bryczce, a najczęściej siedział w domu, bo ból wracał, jakby na potwierdzenie teorii pana Duksznera, który tylko w kamforę wierzył i kamforą wszystkich chciał ratować.

Takie to było nasze, codzienne prawie, kółeczko preferansa, w które się tak nagle i niespodziewanie dostałem.

Czasem, ale to bardzo rzadko, gdy sędzia czuł się zupełnie do-

brze, zbieraliśmy się na probostwie, wypadło też i pana Duksznera odwiedzić.

Niekiedy nie było partyi preferansa wcale, goście przyjechać nie mogli. W takim razie graliśmy z sędzią we dwóch, w pikietę, lub w beziga, który w owym czasie uchodził za grę bardzo modną.

Zgadaliśmy się z sędzią w zdaniu, że gra ta, aczkolwiek modna i zagranicą wymyślona, jest jednak mocno niedorzeczna.



Rozdział szósty, w którym autor ma trudne zadanie, z powodu niedostatecznej biegłości w przedmiocie; w tym również rozdziale występuje Tobiasz Tupet.

Opuściłem znowuż dwa rozdziały z pamiętnika, jako zawierające notatki fachowe, tudzież rodzaj rozprawki na temat: jaka może być najpraktyczniejsza metoda wykładu języka łacińskiego dla pańienek od ośmnastu lat życia liczących, tudzież, czy takowe pańienki łatwo sobie starożytną mowę Rzymian przyswajają?

Jestto praca bezwątpienia poważna i cenna, ale z losem nieboszczyka czwartego i osób w opowiadaniu tem występujących, związku bezpośredniego nie ma.

Opuszczam przeto kilkadziesiąt kart i przystępuję wprost do przepisania tego, co nauczyciel powiada o swej uczennicy.

„Gdy byłem jeszcze w szkołach, pisywałem wypracowania na zadane tematy. Zdarzało się, iż trzeba było opisywać wschód słońca, albo też jego zachód, pożytek, jaki przynosi nauka, sposób przepędzenia wakacyj etc. Później pisywało się rozprawy już ściśle naukowe, za jedną dostało się nawet medal. Bez przesady i bez próżnej zarozumiałości, powiedzieć mogę, że były to opisy zrobione sumiennie, porządnie, z planem, z zachowaniem wszelkich reguł gramatyki, składni, a nawet niepozbawione pewnych ozdób stylowych. I to mogę przyznać, że sporządzenie owych opisów nie przychodziło mi z trudnością; owszem, pisałem je odrazu na brudno, potem z poprawkami na pół czysto i wreszcie, już bez żadnych

poprawek, na czysto; ale w takim położeniu, jak dziś, nie znajdowałem się nigdy.

Mam opisać pannę, czego jeszcze, jako żywo, nie czyniłem, a muszę, gdyż pamiętnik niniejszy nie byłby kompletny bez możliwie dokładnego opisu mojej uczennicy, tej dobrej dziewczeczki, tego kochanego dziecka, które jednak, bezwiednie, jak przypuszczam, wyrządziło mi wielką krzywdę.

Ja jej przebaczyłem i Bóg zapewne przebaczył, tem więcej, że winną wcale nie była; ale idźmy porządkiem. Zaczynałem ten opis trzy razy, zanim trafiłem na ton właściwy. Naprzód nakreśliłem kilkanaście wierszy w ten sposób:

„Uczennica moja jest to panna, tem się od innych panien różniąca, że jako taka, po łacinie się ucząc, silnie od programu średniego wykształcenia dla kobiet odskakuje...

To „odskakuje“ nie wydało mi się właściwem.

Przekreśliłem więc i zacząłem inaczej:

„Szczęśliwy jest malarz; ten bowiem za pomocą farb i pędzla, w takowych od czasu do czasu zanurzanego, daje w kilku, kilkunastu, czy też w kilkuset pociągnięciach, bo liczby ich nie znam dokładnie, obraz mężczyzny, lub kobiety, a niekiedy dziecka, podobny zupełnie do indywiduum, które ma przedstawiać. Szczęśliwy jest malarz; podczas gdy piszący, podobne podejmując zadanie, do omówień, określeń, porównań i tym podobnych sposobów uciekać się musi i na znaczne natrafiając trudności, nie zawsze zadaniu podoła. Do tej przyznając się nieudolności, próbuję nakreślić pisany mej uczennicy wizerunek“.

I ciekawym, po co ten wstęp? Oczywiście, potrzebny jest on, jak dziura w moście. Obejdzie się bez

wszelkich wstępów. Nie potrzeba wstępów!

Kto wie, czy nie najlepszym sposobem opisywania młodych pańien byłaby metoda geograficzna? Naprzykład: Uczennica moja graniczy: na południe z kapeluszem, na północ z bucikami, na wschód z rękawiczką i na zachód także z rękawiczką... Głupstwo wierutne! bo jeżeli zdejmie rękawiczki i usiądzie do obiadu, to graniczy ze stołem, z obrusem, szkłem, porcelaną i srebrem.

Wobec tych trudności i szkopułów, jedynym ratunkiem wydał mi się system „per questiones“, któremu się też, niby deski zbawienia, uchwycił.

Otóż, czy Wanda jest ładna? Odpowiadam bez zająknięcia się: Wanda jest bardzo ładna. Dlaczego? Dlatego, że ładność polega na harmonii szczegółów, a wszystkie szczegóły jej twarzyczki są dziwnie harmonijne i wdzięczne. Czy

piękność jej odpowiada klasycznym wyobrażeniom? Nie odpowiada.

Nie chcę jej porównywać do Wenus z Milo, tembardziej, że posiada obie ręce; nie ma też w niej klasycznej sztywności. Natomiast posiada ona pełną wdzięku ruchliwość, oraz ma w oczach wyraz łagodności i słodczy, nie dający się opisać, a aczkolwiek bywa niekiedy, a zwłaszcza w początkach znajomości naszej bywała, złośliwa, jednak objawy złośliwości tej uważać należy za chmurki przelotne, zasłaniające lazur najpiękniejszej pogody. Czy możesz opisać dokładnie powierzchowność swej uczennicy? Nie mogę i to mnie właśnie boli, czuję się jednak zdolnym do opowiedzi na poszczególne, przedmioty tego dotyczące pytania, o ile te będą jasne i nieskomplikowane. Dobrze więc: Jaki Wanda ma wzrost? Więcej, niż średni. Figurę? Bardzo zgrabną.

Od czasu, w którym ją poznałem, zmieniła się cokolwiek pod tym względem, mianowicie kształty jej wypełniły się. Przeczuję, że zapytany być mogę o kształt ręki i nogi—i uprzedzam to pytanie. Nie odpowiadają one bynajmniej pojęciom estetyków chińskich, pragnących, aby kobieta miała palce zakończone szponami jastrzębia, a nogę podobną do koziego kopytka. Uczennica moja ma rękę niezbyt drobną, lecz bardzo kształtną, to samo śmiem twierdzić o nodzę, o ile takową miałem sposobność dostrzedz.—Włosy barwy złotawej, źle mówię, nieco ciemniejszej, bądź co bądź, jest w nich masa złota. Oczy są koloru niebieskiego. Kolor ten widywałem nieraz na kwiatku pewnej rośliny, której nazwa botaniczna nie jest mi znana. Ów kwiatek bardzo jest wdzięczny i, jak mnie przynajmniej, mile wpada w oko.—Jaka jest charakterystyka i wyraz twa-

rzy twej uczennicy?—Jest pewien przyrząd optyczny, zwany kalejdoskopem. Bawią się nim chętnie nie tylko dzieci i uczniowie, ale nawet osoby dorosłe. Przyrząd ten zawiera w sobie kilka, lub kilkanaście barwnych kamyków, a wewnątrz ma kilka tafelek lustrzanych pod odpowiednim kątem jedna od drugiej odchylnych i tę posiada właściwość, że ile razy nim poruszyć, tyle razy zmienia się w nim obrazek mozaikowy, przed okiem patrzącego weń indywidualum. W rzeczy samej, układają się w tym przyrządzie najrozmaitsze, a zawsze pełne symetrii i pewnego wdzięku obrazy. Otóż, gdy nam opisać, jaka jest charakterystyka i wyraz twarzy panny Wandy, przychodzi mi na myśl ów kalejdoskop. Biała, lekko zarumieniona barwa twarzy, niebieski kolor oczu, purpurowe usta, ciemne brwi i rzęsy, jakieś doleczki na buzi, które nie wiadomo z kąd się

biorą i gdzie się podziewają, tworzą ruchliwy szereg obrazów, zmieniających się prawie bez ustanku, właśnie, jak we wspomnianym wyżej kalejdoskopie, tylko że w tym kalejdoskopie żyjącym, który jest moją uczennicą, zamiast kamyków jest zdrowie, młodość, pogoda duszy, wesołość, brak trosk i serce, złote serce, zaprawdę!

Panno Wando! Śliczna istoto, a niegdyś uczennico moja! przebac mi ten nieudolny opis. Nie odmalowałem cię dokładnie słabem mojem piórem, nie odtworzyłem cię taką, jaką cię widzi wyobraźnia moja w chwilach samotności i rozpamiętywania tych kilku lat, które mi w domu rodziców twoich zeszły i które, gdyby nie okoliczność pewna, do jakiej, niestety, sama przyłożyłaś rękę, byłyby najmilszem w biednym mojem życiu wspomnieniem....

Stało się, przepadło, nie wróci... Tu atoli zaznaczam raz jeszcze,

że cię nieudolne me pióro nie odmalowało tak, jak trzeba, bo i jakież pióro może odmalować zalety i przymioty wewnętrzne, przymioty duszy i serca, któremi tak świetnie jaśniałaś, drogie dziecko!

Wprawdzie, przyznaj sama, kochana panno Wando, że z początku zwłaszcza, miesaliśmy ze sobą sprzeczki, zawsze zresztą bardzo delikatne i niejakie dysputy; że z twych oczu pięknych, z ust do uśmiechu złożonych, wychylał się niekiedy koziołek uparty, ale pokonaliśmy go... Jeżeli w główkę twoją i serce rzucił jakieś ziarnko poważniejszej myśli, a one przyjęły się i wyrosły tak ślicznie, to bynajmniej nie moja zasługa; grunt był dobry, a zapłaciłeś mi za to sownie obejściem uprzejmości pełnem, życzliwością i zaufaniem.

Gdyby nie jedno słówko, jedno tylko słówko, którem mi życie zatrzymałaś?

Niekiedy do mojej izdebki w oficynie przychodził na gawędkę i partycję szachów wspomniany już kilkakrotnie Tobiasz Tupet. Oryginalny to był człowiek i nie wiem, czy w życiu mojem kiedykolwiek podobnego spotkam.

Sama jego powierzchowność była niezwykła.

Małego wzrostu, szczupły, a przytem ułomny, miał twarz wyrazistą, o rysach wydatnych, bardzo ostrych i gęstą, białą, długą brodę, która mu prawie do kolan dostawała. Gdyby miał wzrost normalny, to bujna jego broda uchodziłaby za długą, lecz przy karłowatej postaci wydawała się nadzwyczajną. Sędzia nazywał Tobiasza chodzącą brodą wiecznego tułacza.

Ów Tobiasz Tupet trudnił się podobno handlem i bardzo często wyjeżdżał, ale stałe zamieszkanie miał w Woli, przy zięciu, również żydzie, ma się rozumieć, który młyn trzymał w dzierżawie.

Pewnego dnia rano, gdym siedział w swoim mieszkaniu i czytał Horacego, Tupet wszedł do mnie, bez żadnej ceremonii.

Na zapytanie, ktoby był i czego by właściwie sobie życzył, poruszył nerwowo wyższem ramieniem, zażył tabaki i rzekł:

— Dziwne, że pan mnie nie zna, ale to nic nie szkodzi. Czy to tak trudno się poznać?

— Zapewne.

— Że jestem żyd, to pan widzi.

— A tak, domyślam się.

— Że się nazywam Tobiasz Tupet, to zapewne we dworze wspominali. Czy nie?

— Masz pan słuszność.

— Że umiem grać cokolwiek w szachy i lubię rozmawiać z uczonymi ludźmi, to się pan wkrótce przekona. No, czy się teraz znamy, czy nie znamy?

— Ja pana Tupeta już znam.

— A Tupet znał pana jeszcze, zanim pan do Woli przyjechał.

— Jakim sposobem?

— Zwyczajnym sposobem—żydowskim. Rozmawiałem z rządcą i dowiedziałem się. Na to nie trzeba wielkiej mądrości... Pan uczy naszą panienkę po łacinie podobno?

— Tak.

— Dziwna rzecz, na co jej taki interes może być potrzebny?

— Dla przyjemności.

Tupet pokręcił głową.

— Czy to się panu nie wydaje przyjemnością?—zapytałem.

— Dlaczego nie? Tylko widzi pan, są różne gatunki przyjemności. Ja sam mam wielką przyjemność w czytaniu starych ksiązek.

— Więc dlaczegoż...

— Bo to, proszę pana, nie jest przyjemność panińska. Ale co mam w to wchodzić, panie dobrodzieju, pan na tym interesie coś zyskuje, ja nic nie tracę, ani nie dokładam, co zaś pannie z tego przyjdzie, to się przecież kie-

dyś pokaże. Słyszałem, że pan jest do gry szachowej amator.

— Rzeczywiście, lubię.

— I ja też; tylko, że nie ma z kim. Nasze żydki na prowincyi wcale nie umieją, a panowie! Wiadomo, że panowie mają swoje zabawy. Nie każdy lubi medytować i przepędzać czas z żydem. Żebym wiedział, że to pana nie znudzi, to zaproponowałbym partijkę.

— Dlaczegożby nie—i owszem.

Wydobyłem z komody szachownicę i szachy, ustawiłem na stoliczku, przy którym partner mój zasiadł z wielkim zadowoleniem.

— Bardzo porządna szachownica—mówił—bardzo dobre szachy! Właśnie takie lubię—duże. Jest co wziąć do ręki. Słyszałem, że w Warszawie są wielcy majstrowie od szachów.

— Rzeczywiście, są nawet bardzo dobrze grający.

— Słyszałem, słyszałem. Kilka lat temu umarł jeden pan w okolicy tutejszej, bardzo porządny pan, szlachcic, wielki amator szachów. On mi czasem pokazywał gazety, w których były opisywane gry szachowe. Powtarzaliśmy takie partye na szachownicy, podług gazetowego rachunku. Ha, panie, to były majstersztyki! Tamten szlachcic bardzo grać lubił. On umyślne po mnie posyłał. Nie raz żona mi wymawiała, że dla zabawki ja zaniedbuję interesa. Zrobiłem więc z tym panem taki układ, że grywaliśm y o interes. Niech pan nie myśli, że o coś wielkiego, broń Boże! Czasem o żyto, czasem o owies, a przed świętami o pszenicę. Cztery garnce partya. Czasem wygrałem półtorej ćwiartki, czasem pół korca, zawsze coś z sobą do domu przywiozłem i z tej przyczyny miałem spokój od żony. Wyperswadowałem jej, powiedziałem: moja kochana, niech

się tobie zdaje, że ja jestem muzykant, że jeżdżę grać na weselach i za to mi płacą.

Ośmieliłem się zrobić delikatną uwagę, że nie posiadając dóbr ziemskich, nie mogę grywać ani na owies, ani na pszenicę i że wskutek tego szanowny Tobiasz Tupet może być narażony niepotrzebnie na nieprzyjemności ze strony swej dozgonnej towarzyszki.

— Niech się pan nie obawia— odrzekł Tupet — ja już nie mam żony.

— Cóż się z nią stało?

— Umarła temu pół roku. Teraz nie mam wcale żony. Swatają mnie, stręczą rozmaite panny i wdowy, ale ja się nie spieszę, nie mam wielkiej chęci....

Spojrzałem na Tupeta i przyznałem w duchu, że w rzeczy samej, na oblubieńca, mającego zaślubić młodą dziewczycę izraelską, wyglądał cokolwiek za poważnie.

— Więc o cóż grać będziemy? — spytałem.

— Możemy tak sobie, dla przyjemności; chociaż, podług mego zdania, jak jest trochę interesu, to i przyjemność przyjemniejsza.

Przyznałem zdaniu temu słuszność i odtąd grywaliśmy zwykle o cygaro, o jedno cygaro wartości sześciu groszy.

Przez czas pobytu mego w Woli, Tupet wygrał kilka setek cygar odemnie, a ja od niego zaledwie kilkanaście.

Gracz to był doskonały i przeciwnik poważny — prawdziwą miałem satysfakcyę z nim i jeżeli prawdą jest, co ludzie mówią, że jestem szachista niezgorszy, to w znacznej mierze Tupetowi zawdzięczam, miewał on bowiem plany i kombinacye wcale dowcipne, a nawet w partyi, jak się zdawać mogło, zupełnie przegranej, głowy nie tracił, lecz zawsze zdołał znaleźć jakiś wybieg, który go naj-

częściej poratował i moją porażkę sprawił.

Grywaliśmy nieraz po kilka godzin z rzędu, aczkolwiek nie codzień, gdyż jak wspomniałem, przeciwnik mój wyjeżdżał często za interesami, a i moje zajęcia z uczennicą powiększyły się zczasem.

Zrobiło to się jakoś samo przez się, bez uprzedniego zamiaru. Zaczęliśmy raz, po skończonej lekcji, rozmowę o historii powszechnej i o literaturze.

Zauważyłem, że wiadomości, jakie panna w tej dziedzinie wiedzy posiada, są niekompletne i pozostawiają coś do życzenia.

Spróbowałem dopełnić te braki, tak, niby to sposobem prywatnym, w rozmowie, potem zaproponowałem systematyczny wykład,

Zgodziła się z wielką chęcią, sprowadziłem książki — i przyznać muszę, że moja panna robiła w tych przedmiotach daleko większe i szybsze postępy, aniżeli w łacinie.

Wieczory schodziły przy zielonym stoliku. Zauważyłem, że sędzia lubił moje towarzystwo, puszczając się on częstokroć w dyskurs poważny i dał mi się on poznać, jako człowiek myślący, a w pewnych przedmiotach dość odczytany.

Raz, na jesieni jakoś, zachorowałem. Wypadek ten dał mi poznać całą dobroć tych ludzi.

Choroba nie była ciężka, ale przykra. Zaziębiłem się. Dręczył mnie bardzo kaszel i rzecz prosta, nie mogłem z tego powodu stacyjki mojej opuszczać.

Gdy się sędziostwo dowiedzieli, że cierpiący, natychmiast posłali po lekarza; sędzina przyszła sama, aby mnie odwiedzić i zaopiekować się mną, jak rodzonym bratem. Panna Wanda przyniosła mi soku do herbaty i sędzia, chociaż go noga bolała, o kiju, poczciwy, przywłókł się do mnie, siedział ze dwie godziny, rozmawiał— i on, taki pa-

lacz namiętny, nie dał się na cygaro namówić, chociaż go bardzo prosiłem.

— Nie, nie, panie Melchiorze — rzekł — stanowczo nie będę. Kaszlesz, dym ci może zaszkodzić.

Mnie taka poczciwość chwyta za serce, i Bóg mi świadkiem, że wszystkobyem uczynił, aby tym zacnym ludziom wdzięczność moją okazać.

Nie zdarzyła się sposobność, podziękowałem im więc tylko ustnie i jeszcze w tym pamiętniku dziękuje im piśmiennie: dziękuję, dziękuję!!..

Nad wieczorem zajrzał do mnie Biernacki, dobry człowiek, chociaż szorstki nieco i przyzwyczajony kłać okrutnie.

Ten dał mi radę, żebym doktora nie słuchał a lekarstwa za okno powyrzucał.

— Wysmaruj się, profesorze — mówił — spirytusem mrówczanym po wierzchu, a dobrą nalewką we

środku, przykryj się siedmioma kozuchami, a spocisz się i nie będzie ci nic do samej śmierci. Co najwyżej — dodał — jeżeli kaszel nie ustąpi, każ sobie „kropnąć“ pół kopy ciętych baniek na piersiach, pół kopy na plecach, i wysmaruj się jeszcze kozim łojem, a szelma imię moje, jeżeli nie będziesz zdrów, jak dzik.

Podziwiałem zawsze oryginalny styl tego człowieka. Lubował on się szczególnie w takich wyrazach, jak: „kropnąć“, „wyrznąć“, „trzasnąć“ etc., a w porównaniach zachodził niekiedy bardzo daleko. „Trzasnąłem kielich starki i grzmotnąłem trzy talerze bigosu!“ — to było jego wyrażenie przeciętne, iż tak powiem. A pomimo tej ostrości stylu, człowiek był szczery i nie mu zarzucić nie mogłem. O majątek sędziego dbał, o świcie wstawał, późną nocą kładł się na spoczynek, a w razie potrzeby nie dojadł i nie dospał, byle tylko pra-

codawcy swemu dochodów przy-
sporzyć.

Ludzie źli mówili, że Biernacki
jest taki gorliwy dla tantyemy, jaką
od dochodów z Woli pobiera, ale
ja twierdzę, na podstawie grunto-
wnego przekonania i obserwacyi,
że to nieprawda. Gorliwy to czło-
wiek z natury i temperamet miał
równie gorący jak styl.

Wieczorem owego dnia, kiedy
mnie słabość zmoęła i doktora do
mnie wezwano, dyskretnie, na pal-
cach, wsunął się do mego pokoju
Tobiasz Tupet. Dowiedział się, że
chory i przyszedł mnie odwiedzić,
oraz doradzić, jakimby sposobem
poratować moje zdrowie.

— Widzi pan—mówił—doktór,
taka osoba, zna się na słabościach
lepiej od nas, ale i my się też
znamy. Nie zaszkodzi, gdy czło-
wiek się leczy na dwa sposoby,
na trzy, na dziesięć sposobów. Więc
niech się leczy sam, niech go le-
czy doktór i niech go leczą do-

brzy ludzie. Zawsze, co kilka głów, to nie jedna, choćby ta jedna była wielka, jak bóżnica. Czy nie prawda?

— Zapewne.

— Otóż, mówił dalej Tupet — ja też panu coś poradzę. Pan kaszle, to znaczy, że pańska słabość siedzi w sercu. Pan wie, że serce, to najbardziej grymaśny kawałek w człowieku. Jemu trzeba dogadzać, jak jakiemu burmistrzowi, bo, poprawdzie, ono w człowieku, w jego środku, znaczy tyle, co burmistrz w miasteczku. A czem dogodzić sercu? Dobrem pożywieniem. Trzeba je wzmocnić. Niech pan poprosi pani sędziny o skrzydełko od indyczki i niech pani sędzina z tego skrzydła każe panu ugotować dobry rosół, to jest bardzo posilny interes, niech mi pan wierzy. Ten rosół pan wypije i to skrzydełko pan zje; to już jest połowa kuracyi. Prócz tego, zapewne pan ma jakie lekarstwa?

— Mam.

— Jakie?

— Nie wiem; mikstura jakaś.

— Co to jest mikstura? Pan to używa łyżką?

— Tak.

— No, więc jaka to mikstura? To tylko zwyczajne lekarstwo. A więcej doktor nie przepisał nic?

— Nic.

— To nie jest dobrze.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Myślę iż jemu sędzia dobrze płaci i on chce przeciągnąć słabość pańską.

— Co znowuż?

— Różnie się trafia. Czy on tu jeszcze przyjedzie?

— Jutro ma być.

— Niech-no pan z nim pogada.

— A cóż mam mówić?

— Całkiem niewiele. Niech pan mu da od siebie, ile pan uważa, pięć rubli, czy dziesięć rubli — i niech mu pan powie: Panie doktorze, ja nie chcę długo choro-

wać, ja nie mam czasu na chorowanie. Niech pan mnie leczy prędko. Pan mi zapisał tylko jedno lekarstwo...

— Ależ, panie Tobiaszu, jakże ja mu to powiem? Zapisał mi to, co za potrzebne uważał.

— Mało zapisał, ja panu powiadam.

— Nie rozumiem.

— Aj, panie dobrodzieju, taki prosty, taki zwyczajny interes! Niby ja naszego doktora nie znam. Nie jeden raz miałem z nim do czynienia. On, jak do niego przychodzi zwyczajna żydowka na poradę do domu (płaci dwa złote)— to jej zapisuje lekarstwo. Co jej ma za takie pieniądze więcej zapisać? Jak go wzywają na miasto, do jakiego bogatego kupca i płacą mu za jedną wizytę rubla, to on zapisuje odrazu i lekarstwo i proszek. Widzi pan dyferencyę?

— Widzę i zapewne tak potrzeba.

— Ma się rozumieć, że potrzeba ; przecież każdy towar na świecie ma swoją cenę. Doktor też jest handlujący i musi za rubla więcej zapisać, aniżeli za dwa złote. To ja panu powiedziałem, co on potrzebuje zapisać za rubla, a teraz pomyśl pan: On przyjeżdża do bogatego domu, do pana sędziego. On ma w tę i w tamtą stronę porządną furmankę, wolant z trzema końmi. On ma dobry obiad, on ma przynajmniej, nie rachując dużo, dziesięć rubli za wizytę, a potem siada do kart; zabawi się i też może wygrać kilka rubli. No, jak pan myśli? Co on powinien choremu za tyle pieniędzy zapisać?

— Alboż ja wiem?

— Przepraszam ; za te pieniądze to on powinien zapisać lekarstwo, proszki, pigułki, trochę bańki i zrobić małą reperacyę. Jeżeli tego nie robi, to znaczy, że jest oszukaniec.

— Ależ kochany panie Tupecie, a jeżeli mnie nie potrzeba proszków, pigulek, ani operacyi?

— Co to nie potrzeba? Choremu wszystko trzeba, żeby był zdrów; na to jest medycyna, na to jest doktorstwo. Niech pan pamięta, jak jutro on przyjedzie, niech mu pan to wszystko powie. Na co robić ceregiele, pan może żądać. Pan ma prawo żądać za swoje pieniądze. Niech się pan upomina, ja panu każę.

— Dobrze; będę się upominał.

— I niech pan pani sędziny poprosi o to skrzydełko, koniecznie. Poprosi pan?

— Poproszę — odrzekłem, aby coś odpowiedzieć.

— Bo, jeśli pan nie ma śmiałości, a jak uważam, że pan jest delikatny człowiek, to ja mogę poprosić. Ja mogę o wszystko poprosić. Co panu nie uchodzi, po dług pańskiej polityki, to mnie

uchodzi. Wierz mi pan że czasem dobrze jest być żydem.

Przyrzekłem Tupetowi, że wytkłóć się z doktorem i że domagać się będę należnych mi jakoby proszków, pigułek i operacyi, przyobiecawem zarazem, że poproszę bądź samej sędziny, bądź panny Wandy, o wzmacniający rosół ze skrzydła indyczki; chodziło mi bowiem o to, aby troskliwy o moje zdrowie izraelita nie wyrwał się bezpotrzebnie z jakim żądaniem, najzupełniej nieuzasadnionem, wobec sumiennego lekarza i tych zacnych ludzi, którzy się mną w chorobie zaopiekowali, jakby członkiem własnej rodziny.

Załatwiwszy w ten sposób sprawy dotyczące mojej kuracyi, zacny Tobiasz Tupet postanowił trochę mnie rozerwać i rozweselić.

W szachy grać nie mogłem, gdyż byłem w gorączce i doznawałem bólu głowy; jako jedyny

środek rozrywki pozostawała tylko rozmowa.

Choćbyin żył dwieście i trzysta lat, co oczywiście jest fizycznym niepodobieństwem, nie zapomniabym nigdy tego wieczoru jesiennego, oryginalnej postaci Tobiasza i rozmowy, jaką mnie ten człowiek zabawić usiłował.

Jak zaznaczyłem powyżej, byłem chory i rozgorączkowany. Lampa nie paliła się w pokoju, tylko na kominku gorzały dwie, czy trzy szczapy sośniny, rzucając jakieś fantastyczne, czasem ciemno-krwawe, czasem złocisto-jasne blaski i wytwarzając przytem cienie ruchome, dziwaczne i zmieniające się ciągle. W tem oświetleniu, tak ruchliwem i tak niezwykle, rysowała się postać Tobiasza, również dziwna, fantastyczna, a dla rozgorączkowanego umysłu prawie przerażająca.

Siedział on na niskim stołku blisko kominka, w połowie ku nie-

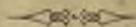
mu zwrócony i jedna część jego postaci znajdowała się w oświetle-
niu czerwonym, druga tonęła
w zmroku. Kolana ginęły gdzieś
pod brodą, a broda zwieszała się
do samej ziemi. Było coś nieludz-
kiego i fantastycznego w tej po-
staci, z której się przecież ludzki
głos dobywał. Zdawało mi się,
ze gnom z bajki przyszedł i prze-
mawia do mnie.

Ostatecznie pretensyi do niego
mieć nie mogę; miał on szczerą
intencję, żeby mnie przyjemną roz-
mową cokolwiek zająć i ożywić,
a widząc mnie mizernym i cier-
piącym, przez pewną asocyację
idei, przyszedł do przekonania, że
najciekawszym i bardzo dla mnie
zajmującym przedmiotem w tej
chwili, będzie rozmowa o przecho-
dzeniu dusz i o cierpieniach, ja-
kich dusze ludzkie, opuściwszy cia-
ło, doznają, zanim się dostaną na
miejsce swego przeznaczenia.

Mówił on obrazowo, do pewnego stopnia nawet poetycznie, opowiadał mi z detalami wszystkiemi o losie duszy, która wybiegłszy z ciała, unosi się jakiś czas w powietrzu, jak ją szarpia dobre i złe duchy, zrodzone z jej własnych uczynków. Jak dusza za grzechy popełnione może przejść z czasem w jakąś inną istotę, w zwierzę, w ptaka, w rybę, a nawet w kamień przydrożny, ażeby ją każdy nogą potęrać i przeklinał.

Tak mnie zabawiał w chorobie szanowny Tubiasz Tupet, a jego postać dziwaczna, świat duchów, o którym opowiadał, wywoływały w moim mózgu rozgorączkowanym obrazy fantastyczne, straszne razem.

Nazajutrz doktor, jakby w myśl Tobiaszową trafiwszy, proszki mi zapisał, niezależnie od mikstury, gdyż się gorączka zwiększyła.



**Rozdział siódmy, mający tę wyż-
szość nad szóstym, że jest
bliższy końca.**

Dwa lata zeszły mi w Woli, jak dzień jeden; przywiązałem się do dobrych ludzi, żaden cień przykry, żadne nieporozumienie nie psuło między nami harmonii.

Raz tylko panna Wanda pozwoliła sobie ze mnie zażartować, za co ją też przykładowie, chociaż może nadto surowo, skarciłem.

Było to tak: Jednego razu w salonie, na stole, dostrzegłem książkę Corneliusa Neposa. Przypuszczając, że takową panna Wada przez zapomnienie zostawiła, wziąłem, aby jej przy sposobności doręczyć i odwróciłem machinalnie okładkę.

Jakżem się zdumiał nie powszednio, ujrawszy na czystej kartce, pomiędzy okładką a kartką tytułową, naszkicowany mój portret w karykaturze. Rysunek wyobrażał niby ułamek starożytnego fryzu, a na nim, jakby w płaskorzeźbie, profil mej twarzy, w okularach, skarykaturowany bardzo zręcznie, z podpisem: *Dominius Melchiorus, Civis Romanus*.

Oburzyło mnie to.

Bądź co bądź, jestem przecież nauczycielem, a aczkolwiek chłopcy, których uczyłem, rysowali moje sylwetki daleko gorzej i dużo złośliwsze robili pod niemi podpisy i uwagi, jednak nie mogłem zezwolić, aby takie szkolne koncepta czyniła panna. I to nie pensyonarka przecież, ale panna dorosła, sędzianka, jedynaczka, do której konkurenci czwórkami zajeżdżają.

Zajeżdżali już albowiem, o czem na swoim miejscu powiedziane też będzie.

Jakoż porwała mnie ostatnia pasya, w której gwałtownym przystępie, pochwytiłem ołówek i po krótkim namyśle, przekreśliłem delikatnie mój wizerunek na krzyż, a pod spodem dałem te słowa: „Non licet.“ i podpisałem na urągowisko: „Similis.“ Niechże pannenka wie, żem się poznał i że z poważnych ludzi nie godzi się żartować.

Książkę pozostawiłem w salonie na tem samym miejscu. Niechże ją sama znajdzie, niech sobie pilnie moją uwagę odczyta, myśl w niej ukrywającą się zrozumie i tym sposobem karę zasłużoną odniesie.

Tak się też stało.

Gdy nazajutrz przyszedłem na lekcję, panna Wanda była cokolwiek zażenowana i mogłem łatwo poznać po wyrazie jej twarzy, że książkę miała w ręku i że moja uwaga nie uszła jej oka.

Tem lepiej, pomyślałem sobie, odczy ją to rysowania karykatur. Że ma talent do skrobania ołówkiem po papierze, to, jak dla mnie przynajmniej, nie ulega żadnej wątpliwości—i niechby talent ten rozwijała, niechby bawiła się rysunkiem, ale wybierając tematy przyzwoitsze. Przecież natura jest taka bogata i taka hojna zarazem w tematach dla rysowników i malarzy. Dała ona tyle krzaczków, drzew, kwiatów, ptaków, kotków, piesków, które za wzory do rysowania służyć mogą— dla czegoż więc wybierać koniecznie mnie, spokojnego człowieka, filologa i nauczyciela? Radbym być pod tym względem nietykalnym.

Lekcja odbyła się dnia tego bardzo poważnie.

Uczennica nie przerwała jej ani jednym słowem niepotrzebnem, ani uwagą dowcipną. Była, jeżeli się tak wyrazić można, całkowicie skoncentrowana w uwadze.

Łaciny tego dnia w rozkładzie lekcyi nie było, tylko historia: dzieje drugiej połowy ośmnastego wieku i literatura.

Wysłuchawszy tego, co mówiła panna Wanda, rozpocząłem wykład dalszy i prowadziłem rzecz bez przerwy, do chwili, w której piękny zegar brązowy pod kłosem wydzwonił godzinę dwunastą. Dokończywszy zdania, podniosłem się i sięgnąłem po kapelusz, aby wyjść.

Wówczas panna Wanda bardzo pokornym i słodziutkim głosem rzekła :

— Niech pan nie odchodzi, mam coś do powiedzenia.

Domyślając się poniekąd, o co chodzi, przybrałem minę poważną i o ile możności surową, jak przystoi obrażonemu w godności swej człowiekowi.

Nie długo jednak mogłem się w tym charakterze utrzymać, panna albowiem patrzyła mi prosto w o-

czy, z początku również poważnie, potem na jej twarzy zaczęły się robić jakieś szczególniejsze dołeczki, bardzo ruchliwe, na ustach pojawił się uśmieszek, pojawił się, zniknął, znów się pojawił, potem z uśmieszków zrobił się uśmiech, a z uśmiechów śmiech wdzięczny, srebrny, ale nie sarkastyczny, lecz przeciwnie, szczery jakiś i poczciwy.

Szczególne metamorfoza i zaraźliwa, bo i ja również, patrząc na tę ruchliwą twarzyczkę, na tę wesołość niewinną a szczerą, zacząłem się śmiać także, co w ogóle zdarza mi się rzadko, a podczas lekcji nie przytrafia nigdy.

Wyciągnęła do mnie rączkę i rzekła :

— Panie Melchiorze, nauczycielu mój, zrobiłam karygodne głupstwo, za co pana z całą skruchą przepraszam.

Usiłowałem nastroić się na ten sam ton i odrzekłem :

— Panno Wando, uczennico moja, zrobiłem karygodne głupstwo, za co panią z całą skruchą przepraszam.

Roześmiała się znowuż.

— Ja pana przepraszam za ten nieszczęśliwy rysunek.

— A ja przepraszam panią za ten nieszczęśliwy dopisek.

— Panie, mówmy na seryo. Istotnie zawiniłam; miałam w ręku ołówek, a że myślałam o panu, więc mimowoli jakoś, sama nie wiem kiedy, zrobiła się ta karykaturka. Zniszczyłam ją już, proszę patrzeć, karta wydarta i spalona w piecu. Popioły z niej uleciały przez komin. Czuję całą niewłaściwość mego uczynku i przepraszam, przepraszam, przepraszam! Już się to nigdy więcej nie powtórzy, daję na to „verbum nobile.“

— Wierzę pani.

— Dziękuję, ale nie dość jest wierzyć, trzeba przebaczyć wietrznicy, trzeba zapomnieć zupełnie.

— Już zapomniałem.

— O ja wiem, że pan dobry jesteś, mój nauczycielu, i gniewać się nawet nie umiesz. Ja też panu wdzięczna jestem za wszystko, czegoś mnie pan nauczył i mam dla pana głęboki szacunek i życzliwość.

Wzruszyła mnie dziewczyna tem przemówieniem.

My, nauczyciele, rzadko kiedy odbieramy od uczniów dowody wdzięczności. Chyba kiedyś, kiedyś, jak już uczeń zestarzeje się i zupełnie mu łacina z głowy wyleci, przypomni sobie przy spotkaniu dawnego nauczyciela i dobre słowo mu powie.

I to jeszcze kwestya, mojem zdaniem, nierozwiązana, na jakim gruncie owo dobre słowo wyrasta? Czy jest ono istotnie owocem rozczulenia na widok dawnego mistrza, czy też tylko własnej, minionej bezpowrotnie, a tak każdemu drogiej młodości przypomnieniem?

Niech rozwiąże tę zagadkę, kto potrafi, ja wracam do mojej panny Wandy.

Wzruszyła mnie jej dobroć i uznanie, wyrażone nie kiedyś tam, po latach, ale zaraz, pod wrażeniem chwili.

Wzruszyła mnie tak dalece, że ująłem ją za rękę i zastanowiłem się nad pytaniem, czy wypada mi, idąc za szczerą intencją, rękę tę pocałować, czy nie? Rozumowałem nieco sofistycznie, że panna Wanda jest wprawdzie uczennicą, ale jest oraz i kobietą, a od najstarożytniejszych czasów aż po dzień dzisiejszy, mężczyźni składali na rękach niewieścich pocałunki. Antoniusz w taki sposób złożył cześć Kleopatrze przy pierwszym spotkaniu, że nie powiem już o Sokratesie, który całował po rękach tak pośledliwą kobietę, jaką była Ksantypa.

Po niejakiem wahaniu się, podniosłem rękę panny Wandy i złożyłem na niej pocałunek.

Zastanawiając się później nad tym faktem na zimno, przyszedłem do przekonania, że nic niewłaściwego nie uczyniłem i że sumienie moje wyrzucać mi tego postąpienia nie będzie.

Uczennica moja była tym aktem czci, złożonym jej przezemnie, nieco zdziwiona, lecz nie obrażona.

Owszem, zdawało się, że jej przykrości nie sprawił. Wniosek mój opieram na tym fakcie, że bezpośrednio po ucałowaniu ręki zakomunikowała mi kilka wiadomości, w wysokim stopniu dla mnie przyjemnych i pochlebnych.

Zapisuję je w tym pamiętniku nie przez próżność, ile dla złożenia dowodu, że wbrew twierdzeniom niektórych pesymistycznie usposobionych ludzi, szczerza praca i dobre chęci znajdują uznanie, o ile, ma się rozumieć, z uczciwymi ma się do czynienia interesantami.

Powiedziała mi panna Wanda, że rodzice jej oboje, zarówno sędzia, jakoteż i sędzina, są dla mnie pełni życzliwości, że radziby stosunek ze mną choćby jak najdłużej utrzymać, że kiedy wyjechałem do Warszawy na dwa tygodnie (co uczynić musiałem, celem dokompletowania i odświeżenia mej garderoby), to sędzia formalnie za mną tęsknił; że wreszcie ona sama, to jest panna Wanda, tak się do mnie przyzwyczaiła i (własne jej słowa) tak przywiązała, że zrobiłbym jej największą przyjemność, gdybym pozwolił nazywać się wujaszkiem!

Jej wujaszkiem!

Boże wielki! Kto tę dziewczynę znajomości serca ludzkiego nauczył i czytania w niem, jak w książce? Kto jej powiedział, że uszczęśliwi mnie temi wyrazami kilkoma?

Ja wujaszkiem! Ja, który rodziców własnych pamiętać nie

mogę, bo mnie osierocili tak wcześniej; ja, który nie miałem nigdy ani brata, ani siostry, ani żony, ani dzieci, którego wszyscy tytułowali tylko panem; naraz zostaję wujaszkiem pięknej i takiej dobrej dziewczyny!

Tak mnie ta jej propozycja wzruszyła, że aż mi oczy mgłą zasły. Ja jej wujaszkiem!

Mówiłem też sobie w duchu: Melchiorze! ciebie coś złego spotka, bo za dużo szczęścia dziś doznałeś, reakcja jakaś musi nastąpić.

Po obiedzie, wciąż o tem rozmyślając, dla wypoczynku, udałem się na przechadzkę w pole.

Ładny to był dzionek, bardzo ładny. Poszedłem dosyć daleko, do lasu i gdy wracałem, już słońce ku spoczynkowi się miało. Ożywcze, pachnące powietrze napełniało świat cały przedziwnym jakimś balsamem, od wody miły chłód szedł, łagodny wietrzyk

figlował swawolnie z kwiatami i liśćmi. Mnóstwo drobnego ptactwa fruwało nad polami, cała przyroda wyglądała jakby świątecznie.

Gdy tak szedłem, zadumany i w cichej pograżony kontemplacyi, nagle usłyszałem za sobą głos tubalny:

— Profesorze! niech-no profesor zaczeka!

Oczywiście mnie wołano.

Obejrzałem się, doganiał mnie Biernacki. Słusznie mówię doganiał, człowiek ten albowiem nie szedł, lecz kroczył na długich nogach, jak ów olbrzym z bajki, który zwykł był nosić siedmiomilowe buty.

Rządca był opalony, zakurzony i mocno dyszał ze zmęczenia.

— Co pan tu robisz? — zapytałem.

— A no, „dymam“, jak pan widzisz, do domu.

To „dymam“ nie było klasyczne, ale malowało rzecz dobrze. Pan Michał bowiem sapał, jak miech w kuźni.

— Wyobraź pan sobie — mówił — co za psie zdarzenie! Koń szelma mi uciekł i ja oto pięć wiorst macham na piechotę.

— O! i dlaczegóż uciekł?

— Bo mu się sprzykrzyło stać. Byłem przy robocie pod lasem, przywiązałem konia do krzaczka, a sam pilnowałem ludzi. Tymczasem bąki i muchy ćwiczyły go potężnie. Szarpał łbem, szarpał, aż odłamał gałązkę, do której był przywiązany; zadarł, panie dobrodzieju, ogona i jak huncwot bryknął do domu, to się za nim tylko zakurzyło. Widzisz pan, jaki psi los.

— W istocie położenie niemiłe.

— Co to niemiłe! głupie położenie, paskudne, ale niech je tam! Przecie konia sądu nie pozwę.

A cóż profesor tu robi na polu?

— Tak sobie wyszedłem, aby użyć nieco przechadzki.

— Spacerku, co?

— A tak, panie Michale.

Zdaleka na gościńcu ukazał się tuman kurzu. Domyślać się mogłem, że ktoś jedzie, i że prawdopodobnie konie taki kurz kopytami sprawiają, ale rządca, który miał rzeczywiście wzrok jastrzębi, przysłonił oczy dłonią, popatrzył przez chwilę i zawołał:

— Oho, panie profesorze, zdechł pies!

— Nie słyszałem nic o podobnym wypadku w tym czasie i w ogóle nie wiem, dlaczegooby mnie to miało szczególnie obchodzić?

Rządca powtarzał ciągle:

— Zdechł pies i pańska łacina zdechła, panie Melchiorze!

— Zwracam uwagę, że łacina jako język, uważaną być może poniekąd za nieśmiertelną.

— Jednak szkoda mi ciebie, profesorze. Ot, wiesz co, po licha wracać do Warszawy i trudnić się belferką? Tu w sąsiedztwie, w dobrach hrabiowskich, wakuje posada kasyera; słowo powiem głównemu administratorowi i masz doskonałe miejsce. Na gospodarstwie znasz się pan, jak kura na pieprzu, ale pieniądze chyba potrafisz rachować. Cóż, bierzesz pan, czy nie? Bo to widzisz, czas płaci, czas traci, a nie należy zasypiać gruszek w popiele.

— Ależ, panie dobrodzieju, do czego to prowadzi?

— Pyszny z pana facet, jak mi Bóg miły! On się pyta, do czego prowadził!

— Bo w rzeczy samej nie widzę...

— A to wytrzeszcz pan oczy i patrz! Widzisz te cztery siwe konie, jak hamany, i ten powozik?

— Oczywiście widzę.

— Otóż to twoja łacina, profesorze, wścieka się!

— Co pan mówisz? Cokón ie mają do łaciny, albo łacina do wścieklizny?!

— Ależ panna za mąż wyjdzie!— huknął mi w samo ucho— a jak wyjdzie za mąż, to co jej będzie po łacinie?... Rozumiesz pan teraz?

— W istocie, ale że ktoś przyjeżdża, to jeszcze nie racya, żeby się miał ożenić... Przecież bywa kilku młodych ludzi.

— Głupstwo, kochany profesorze, tamci targują, a ten kupi. My zaś wypijemy litkup. Jak mi Bóg miły, tak się urznę na jej weselu!! Pamiętam przecież, jak tu nastąłem, to było takie małe pędractwo i łąziło po trawniku, jak mucha...

— Kto?

— A któż? Panna Wanda! Mówię panu, że ten targu dobije.

Kto wie nawet, czy już oddawna nie dobił..

— Jednak nie bywał tu, ja go wcale nie znam.

— Jakżeś go pan miał widzieć, skoro przez kilka lat za granicą siedział!

— Zapewne.

— Mnie się zdaje, że tam między nimi musi być dawne kochanie.

— O!...

— Znają się oni od małego, bo trzeba wiedzieć, że ten młody Zawiejski, to trochę i kuzyn i wielki ulubieniec sędziowski. Stary podobno się odgrażał, że mu coś zapisze.

— Odgrażał się?!

— A tak. Ożeni się, jak amen w pacierzu, a sędziostwu w to graj.

— Nie wiem atoli, czy panna...

— Ej, profesorze! Jakież pan, z przeproszeniem, niedołęga.

— No, tegobym o sobie nie powiedział; energię mam...

— We dworze po całych dniach siedzisz, z panną codzien po łacinie rozmawiasz, i nic nie wiesz; a ja, proszę cię, ciągle na polu, w snopki i kopy patrzę tylko, jak sroka w kość i wszystko wiem, co się dzieje.

— Dlaczego, jak sroka?

— Bo to widzisz, łaskawco, jednym oczkiem w kość, a drugim po świecie, taki mam zwyczaj. Więc przyznaj drogi panie...

— Ależ co?

— To, że się twoja łacina wścieka.

— Ależ fe!

— Panna wyjdzie za swego Jasia, za to zaręczam.

— To bardzo dobrze. O ile mi wiadomo, takie jest właściwe przeznaczenie wszystkich panien.

— Racya, ale cóż pan zrobisz?

— Powinszuję.

— Ale co pan zrobisz ze swoją facyatą?

— Wyrażenie dość dziwne, o ile się odnosi do mojej osoby... namyślę się.

— A tymczasem doskonałe miejsce u hrabiego złapie ci kto z przed nosa...

— Jak żyję kasyerem nie byłem.

— To będziesz, nie święci garnki lepia, tylko ludzie. Więc jakże?

— Trzeba się poważnie zastanowić.

— A niechże pana najjaśniejszel!

— No, no...

— Nie widziałem jeszcze takiego człowieka. Masz pan z górą pięćdziesiąt lat i potrzebujesz niańki, jak pędrak, który chodzić nie umie. Otóż będę ja pańską niańką. Chcesz, czy nie chcesz, jutro jadę do administratora i proszę, żeby miejsce dla pana zatrzymał. No, mógłbyś mi przecie, panie profesorze, powiedzieć: „Bóg zapłać“, albo po łacinie „Dominus vobiscum“.

— Owszem, dziękuję panu z serca i nie wiem, czem w istocie zasłużyłem na tyle dobroci z jego strony.

— Co za dobroć? Poprostu nie lubię, żeby się porządni ludzie, jak psy, bez posad włóczyli. Trafia się, że można dopomódz, to się dopomaga, a jakby nie było można, toby się nie dopomogło. Nie trzeba być uczonym, ażeby taką prostą rzecz rozumieć.

Przekonało mnie to dowodzenie i musiałem przyznać w duchu, że pod chropowatą i szorstką skorupą tego człowieka kryje się dobre serce, a w szkaradnym, trywialnym stylu wielka szczerłość uczucia. Uścisnąłem jego rękę i powiedziałem, że cokolwiek się stanie i jakkolwiek się stanie, pozostanę na zawsze jego najżyczliwszym przyjacielem.

Wicie, co odpowiedział mi na to?

Ścisnął mnie za rękę, aż mi wszystkie kości zatrzeszczały i rzekł:

— Co to dużo gadać!... Od pierwszego wejrzenia poznałem, żeś pan jest nienajgorszy piernik!

Jeszcze mi nikt w życiu podobnego tytułu nie nadał!

Cały wieczór przepędziłem w mojej stancyjce, zastanawiając się nad wieloma zagadnieniami przyszłości.

Osoba moja własna bardzo małą rolę grała w tych dumaniach, więcej myślałem o mojej uczennicy.

Oby była tak szczęśliwa, jak jest dobra, oby w przyszłości znalazła wszystko, czego sama pragnie; oby ów przyszły, któremu z ufnością losy swoje powierzy, umiał uszanować skarb, jaki dostaje.

O panno Wando! uczennico moja, błogosławię ci i... przebaczam, gdyż wiem, żeś nie chciała mi nic złego uczynić.



Rozdział ósmy: Jak dziewczica
w bieli zdruzgotła serce filolo-
ga, i jak się rozwiązała zagadka
b. p. Tobiasza Tupeta.



ie atramentem ja piszę ten pamiętnik, ale łzami—nie łzami, ale raczej krwią serdeczną.

Słusznie powiedziałem sobie nie-
gdyś:

— Melchiorze, tyś zanadto szczę-
śliwy, ciebie coś złego czeka.

I czekało.

Było to dnia 3 lutego 18....

Tobiasz Tupet już nie żył; zmarł
nagle podczas jarmarku w sąsie-
dniem miasteczku; zmarł, pochowa-
no go i ja dopiero w dwa, czy
trzy dni później, dowiedziałem się

o tym fakcie. Zagadka pozostała dla niego nierozwiązaną.

Nie zazdrościłem nigdy niczego i nikomu, ale była chwila, żem Tupetowi pozazdrościł. Wolałbym umrzeć, aniżeli dowiedzieć się tego, czegom się dowiedział, aniżeli usłyszeć to, co usłyszałem.

A byłem tego dnia w usposobieniu ducha doskonałem, bo i w całym domu sędziostwa panował nastrój uroczysty i radosny. Panna Wanda wychodziła za mąż i jeszcze jak!...

Łączyły się dwa serca młode, kochające się nawzajem szczerze, a po za tem, co na tym mizernym płaczu padole niezbędnem nie jest wprawdzie, ale też i obrzydzenia ludziom nie sprawia — łączyły się dwie fortuny spore.

Mówił mi Biernacki, z właściwą sobie expressyą stylową, że pod względem materyalnym interes to „dwadzieścia cztery razy kokosowy“ i że zjadłby dyabła ten, kto-

by równie dobraną parę w całej okolicy wynalazł.

Zaczął mi wyliczać włóki lasów, pól, łąk; opowiadać o stanie zabudowań, pięknych inwentarzach i tym podobnych przedmiotach, o których słyszę tu ciągle, ale rozumiem nie wiele, i w ostatecznym rezultacie oświadczył, iż łatwiej znaleźć igłę w stogu siana, aniżeli taką pannę, jak Wanda i takiego kawalera, jak jej narzeczony.

Pocziwy Biernacki! Jak on się na ten dzień uroczysty wystroił, jakie jasno-żółte jelonkowe rękawiczki przywdział, jak wspólnie wyglądał!

Umyślnie felczera sprowadził, żeby go ogolił i ostrzygł, co też rzeczony izraelita skutecznie tak sumiennie, że oblicze pana rządcy, oskrobane świeżo, miało kolor szynki surowej.

— Patrz pan — mówił do mnie energiczny agronom — patrz pan,

jak na dzisiejszy dzień musiałem się wysztafirować! Jedną tylko mamy pannę Wandę i, do trzykroć sto tysięcy... nie codzień wydajemy ją za mąż! Nie cierpię ja wszelkich fraczków niemieckich, ale na to wesele—trudno—musiałem sobie frak sprawić. Wyglądam w nim, jak krowa w chomencie, ale szyk jest od stu diabłów! Dawidek mi ten frak zrobił.. Ma szelma talent, bo ma. Trochę się to fraczysko marszczy, ale mnie żyd przekonał, że tak trzeba, bo w żurnalu też jest ze zmarszczkami. Ktoby się spodziewał, że taki, panie, łapserdak, może mieć żurnal i jeszcze do tego francuski. Dziwne rzeczy się dzieją, jak cię kocham, profesorze, żebym spuchł, jeżeli nie prawda...

Takeśmy sobie gawędzili w oficynie, w moim pokoiku, gdzie się kochany Biernasio na parę godzin zakwaterował.

— Muszę tu posiedzieć—mówił u ciebie, kochany profesorze, zanim się goście zjadą i czas będzie iść do dworu. Będę tu siedział jak słupek i ani się ruszę, a to dla tego przekłętego fraka.

Zdziwiła mnie ta ostrożność, poniekąd zbyteczna, jak sądziłem.

— Widzisz pan, moja natura jest trochę, psia kość, gorąca; znam ja ją, jak zły szeląg! Otóż, gdybym poszedł na folwark, zaraz bym tam coś dostrzegł, bo od tego mam oczy, a jakbym dostrzegł tobym kogo trącił, a jakbym trącił, toby to fraczysko pękło, bo mnie pije pod pachami dyabelnie. Między nami mówiąc, ta paryska moda jest okropnie głupia, kiedy przy niej człowiek rękami ruszyć nie może; ale trudno, skoro ma być z szykiem, to niech będzie z szykiem. A słuchaj-no, panie profesorze, czy tobie tak samo ciasno we fraku?

— Nie — odrzekłem — nie ciasno, bo też mój frak — dodałem, jest już bardzo staromodny.

— Patrzaj-że, jednak ten bestya, Dawidek świeże żurnale sprowadza.

— Siadaj-że, kochany panie Michale — rzekłem, widząc że gość mój wciąż stoi.

— Dyabła tam siadaj, kiedy cały garnitur jest taki modny, że się w nim ruszać nie można. Nie głupim siadać.

Rzeczywiście przez cały dzień nie usiadł, aż dopiero przy kolacyi i to z ostrożnością niesłychaną. Na szczęście, obyło się bez wypadku.

Koło godziny dwunastej poproszono mnie do dworu.

Sędzia był już ubrany świętecznie i przyjął mnie w salonie.

— Kochany panie Melchiorze — rzekł — przepraszam najmocniej, żem cię śmiał fatygować i posyłałem po ciebie.

— O, panie sędzio dobrodzieju, przecież jestem domowy.

— I przyjaciel nasz, dodaj, panie Melchiorze.

Skłoniłem głowę w milczeniu, dając tem niejako do poznania, że radbym wiedzieć, czego życzy sobie odemnie pan sędzia?

— Otóż, panie Melchiorze, właściwie nie ja cię wzywam, ale Wandzia. Pragnie ona pomówić z tobą. jest w małym saloniku i czeka. Idź-żeż pan, bo tylko patrzeć, kiedy goście zaczną się zjeżdżać.

Zaciekawiony w najwyższym stopniu, czegoby panna Wanda życzyć sobie odemnie mogła, zwłaszcza w tak ważnym i uroczystym dla niej dniu, pospieszyłem do owego saloniku, w którym zwykle odbywaliśmy lekcye.

Wszedłem i—szczerze mówię - musiałem oczy przymrużyć, gdyż zostałem nagle olśniony, ujrawszy moją uczennicę.

Zapisałem już poprzednio w tym pamiętniku, że była to dziewczyna piękna i okazała, ale w stroju ślubnym, w zwojach śnieżno-białej szaty, w pół przezroczystym welonie, który ją całą osłaniał, wyglądała, jak zjawisko.

Olśniony byłem i oniemiałem z podziwu i byłbym tak stał, sam nie wiem jak długo, z otwartymi ustami i nie wiedział, jak się odezwać, gdyby ona sama nie była zaczęła rozmowy.

Podawała mi rękę na powitanie, poprosiła abym usiadł i wprost przystąpiła do rzeczy.

— Panie Melchiorze—rzekła— przez trzy lata byłeś moim nauczycielem i przyjacielem zarazem. Pracowałeś nademną i doprawdy wiele skorzystałam z pańskich światłych, a tak jasno i przystępnie prowadzonych wykładów. Dziś uczennicą pańską być przestaję i rozpoczynam nowe życie... Ale pamięć o panu zachowam na

zawsze w głębi serca. Przyjmij pan odemnie serdeczne, szczere podziękowanie za twą pocziwą pracę i życzliwość.

Podawała mi znów rękę, którą tym razem, bez żadnych skrpułów i wątpliwości, ucałowałem kilkakrotnie i rzekłem, prawie ze łzami w oczach:

— Panno Wando, jestem do brocią pani tak wzruszony, że wyrazić tego nie potrafię. Niech pani Niebo da tyle szczęścia, tyle pociechy, tyle radości w życiu, ile ja ci, pani, życzę.

— Dziękuję, stokrotnie dziękuję i proszę — dodała zarumieniona, podając mi jakieś zawinięte w papier pudełeczko — nie wzgardź drobną pamiątką od wdzięcznej uczennicy. Niech ten drobiazg przy, pomni ci ją czasem...

Wziąłem pudełeczko (w którym, jak zobaczyłem później, był piękny złoty zegarek, z napisem odpowiednim i datą jej ślubu) wziąłem-

choć wolałbym być na ustnem podziękowaniu poprzestać.

Chciałem właśnie powiedzieć, że i bez upominku zawsze o niej pamiętać będę, lecz nie dała mi przyjść do słowa.

— A teraz — rzekła — panie, jeszcze jedna prośba. Lekcyje moje rzecz naturalna, ustają, ale, widzi pan, moi rodzice tak pana polubili, tak pana bardzo szanują, mój kochany ojczulek tak ceni pańskie towarzystwo, że smutno i przykroby mu było, gdybyś odjechał. Zostań pan w Woli.

Poruszyłem się na krześle.

— Rozumiem ja pańskie skrupuły — rzekła — aleć można na to poradzić. Tu się znajdzie dla pana zajęcie. Zostań pan, zrób to dla mego ojca, dla mnie.

— Widzi pani...

— Namyśleć się pan chcesz? Dobrze, przecież chyba nie odjedziesz pan dziś, ani jutro, bo nie puszczą pana, zatrzymają, popro-

stu koni nie dadzą. I po dobrem sercu pańskim nie spodziewam się, żebyś chciał mego dobrego ojczulka tak zaraz w pierwszej chwili opuścić... Ja jutro odjeżdżam do męża, goście też odjadą; wyobraź pan sobie, jak tu rodzicom moim będzie samotnie i smutno. Czyż pan ich w takiej chwili opuścisz, panie Melchiorze? Ja bardzo, bardzo proszę pana o tę łaskę, a co do dalszego pańskiego stosunku z tym domem—to się jakoś ułoży.

Uśmiechała się, mówiąc te słowa i taka wzruszająca prośba, takie jakieś serdeczne drżenie było w jej głosie, że kamieńby się rozczulił.

A przecież jam nie kamień. Odzrekłem, że chętnie, o ile możliwości, starać się będę uprzyjemnić sędziostwu pierwsze chwile osamotnienia, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Że mi pani nareszcie wyjasnisz swoją tajemnicę i rozwiążesz zagadkę, nad którą trzy lata się męczę. Po co właściwie uczyłaś się pani łaciny? Czy po to tylko, by zrozumieć księdza, który powie dziś do pani: „accipe annulum?...”

Moja ex-uczennica roześmiała się szczerze i wesoło.

— Mnie łacina—rzekła—wcale potrzebna nie była; uczyłam się jej właściwie dla ojca.

— Więc pan sędzia życzył sobie tego.

— Nawet mu na myśl nigdy podobny projekt nie przyszedł. Zdumiał się, gdym mu powiedziała, że mam chęć łacinę studyować.

— Tedy... nic a nic nie rozumiem, jaka idea?

— Widzi pan, to prosta rzecz. Ja mego ojca bardzo kocham; kocham tem więcej, że jest cierpiący, a przez to jakby przykuty do domu i skazany na samotność. Wia-

domo panu, że gdy mu ból w nodze dokucza, to musi siedzieć w pokoju i nie wychylać się nawet za próg. To bardzo jest ciężko.

— W samej rzeczy— odrzekłem—pan sędzia dużo cierpi.

— Jedyłą rozrywką ojca jest towarzystwo i preferans. Proboszcz przyjdzie, pan Dukszner przyjdzie i grają—ale ojciec zawsze się użalał na to, że taka gra bez czwartego zabardzo męczy i to mu psuło całą zabawę. Tyle razy się uskarżał, że postanowiłam pod jakimkolwiek pozorem zaradzić temu jakoś. Rozumie pan teraz?

— Bynajmniej, panno Wando; miałem się dowiedzieć o łacinie, a słyszę o preferansie.

— Ach, jaki pan niedomyślny! Przecież ja tej łaciny nie potrzebowałam, szło mi tylko o pozór, ażeby módz sprowadzić do Woli człowieka przyzwoitego i wykształconego, któryby ojcu memu to-

warzystwa dotrzymywał—no i tak szczęśliwie trafiłam, że ojciec miał przyjaciela i partnera i ja skorzystałam.

— Ach!—zawołałam—więc to ja byłem tu tylko... czwartym!

Gdyby Herkules uderzył mnie potężną swoją maczugą, padłbym na miejscu z roztrzaskaną czaszką i skończył nędzne życie odrazu; ugodzony zaś tym jednym wyrazem, zatoczyłem się tylko, jak pijany, uczułem że mi się jakieś nici rwą w głowie, a w sercu coś boli... ach, jak boli!...

Zabiła mnie ta piękna dziewczyna, zdruzgotała, zmiażdżyła, jak nędznego robaka. Musiało na mej twarzy odbić się to cierpienie moralne, gdyż Wandzia przeraziła się bladości mej i zawołała z niekłamanem, szczerem współczuciem:

— Na Boga żywego, co panu!?

Zdobyłem się na najwyższy wysiłek woli i odrzekłem spokojnie:

— Nic, panno Wando, to przejdzie. Jestem oddawna cierpiący na serce i każde silniejsze wzruszenie działa na mnie.

— Jakiż pan dobry i życzliwy dla nas!...

Tak, pomyślałem sobie, tak śliczne dziewczyno; życzliwy jestem, chociaż tyś mnie zabiła słówkiem jednym... Niech ci to Bóg przebaczy, bo zmarnowałaś mnie bezwiednie...

Goście zaczęli się zjeżdżać, a ja odszedłem do oficyny, do pokoiku mego, zamknąłem drzwi na klucz i zapłakałem rzewnie, serdecznie, nad życiem straconem, nad moją własną marnością.

I tyle lat przeżyłem i tyle chleba zapracowałem i zjadłem i doczekałem włosów siwych, bez świadomości stanu swego, nie wiedząc wcale, czem byłem właściwie, czem jestem?!

Trzebaż dopiero, żeby ta dziewczyna, u progu własnego szczęścia

wydarła mi słówkiem niebacznem moje biedne szczęście: nieświadomość! — i trzebaż było, aby do wykonania tego wyroku, który chyba duch złego i zniszczenia na mnie wydał — ustroiła się tak uroczyście!... Ha! jakaż ironia piekielna!

Wyglądała, jak anioł, gdy przyszła wypędzać z duszy mojej... człowieka...

Zaprawdę, tylko ognistego miecza jej brakło!..

O księżu Eustachy! W jakąż-to wyprawieś mnie drogę? I po com się uczył? po com stopnie zdobywał? po co? Aby nigdy niebyć samodzielnym, tylko wiecznym zastępcą, wiecznym wyręczytciem, tylko... czwartym do kart!

Długo płynęły z mych oczu łzy gorzkie, łzy jakiegoś dziwnego upokorzenia i wstydu... Ale po wiedziałem sobie nareszcie:

— Biedaku czwarty, dość już płakałeś nad sobą i będziesz je-

szcze nieraz miał sposobność zapłakać w Warszawie, do której powrócisz, w stancyjce swej samotnej. Teraz idź tam, gdzie się weselą, usiłuj uśmiech na twarz wywołać, nie psuj ogólnego nastroju! Niech cię, Melchiorze, nie plami niewdzięczność; jesteś marnym robakiem, jesteś niczem... czwartym do kart jesteś—ale złym nie bądź. Pamiętaj, że ci ludzie dali ci blisko trzy lata życia spokojnego i szczęśliwego prawie, że cię darzyli przyjaźnią i że gdybyś chciał tylko, to mógłbyś u nich do śmierci za... czwartego pozostać. Melchiorze! o Melchiorze! opanuj swoją boleść, pokonaj pychę, każ milczeć godności zdeptaanej—i idź do nich.

Tak przemawiałem i tak przemówiłem do siebie, głosem przekonującym, poważnym i surowym, bo tak zawsze czynię w ważniejszych życia momentach. Przemówiłem do siebie, przekonałem

sam siebie i byłem posłuszny sam sobie.

Surowym jestem zawsze „auto-mentorem“, moralizuję się, karcę, a gdybym kiedy głosu własnego, głosu sumienia lub przekonania nie usłuchał, tobym sobie klęzcęć kazał, lub zamknął się za karę na trzy dni w ciemnicy, o chlebie i wodzie... Tak się trzymałem krótko od młodości wczesnej i tak aż do śmierci trzymać się będę.

Zajechaliśmy przed bramę kościelną. W kruchcie spotkał nas proboszcz, zakłopotany niezmiernie.

— Sędzio dobrodzieju! — rzekł. — Co ja zrobię?!

— Cóż się stało?

— A oto wypadek fatalny! Wyobraź sobie, organista, przed kwadranssem, na schodach upadł, rękę zwichnął i grać nie może. Co za casus! Nie jest to wprawdzie impedimentum, ale jakżeż... żeby Wandzia, sędzianka, brała ślub cichy... bez organów. Mała to rzecz

ale kobiety gotowe jakieś złe wróżby ztąd wyciągać...

— W samej rzeczy — rzekł sędzia — to przykre, aleć trzeba coś zaradzić.

— Ot, wiesz co, sędzio? — dodał ksiądz. — Chodźcie wszyscy do mnie na plebanię, posiedzicie, pogawędzimy, butelczynę wam jedną i drugą postawię, a tymczasem pan Biernacki pojedzie do Rudki i ztamtąd organistę przywiezie.

— Po co ten zachód?—rzekłem—sędzianka weźmie ślub zaraz i bez żadnych impedimentów.

— A to jakim sposobem?

— Ja zagram na organach i zaśpiewam, jak należy.

— Alboż pan umiesz?

— Gdybym nie umiał, nie ofiarowywałbym swych usług.

— O Melchiorze!—zawołał sędzia—niech ze ci Bóg płaci!

Nie słuchałem podziękowań i tak, jak stałem, we fraku, z bukietem

kiem u klapy, przez jakąś w różowych obłoczkach fruującą druchnę przypiętym, poszedłem na chór, po wąskich, ciemnych schodkach.

Dziad świecił mi, w obawie, żebym także ręki nie zwichnął.

— O Wandziu!—myślałem sobie o morderczyni moja, panno Wando! Służyłem twemu ojcu za... czwartego, za dziada do kart, niechże jeszcze i tobie za organistę do ślubu posłużę.

Idź, graj, wiekuisty zastępco!...

Przypomniałem sobie, siedząc już na chórze, moją młodość, organiściinę srogą, organistę łagodnego i ksiądz Eustachy na myśl mi przyszedł...

Dziad oba miechy nadusił, położyłem palce na klawiszach, stopy oparłem na pedałach i widziałem z góry, jak przed wielkim ołtarzem, wśród blasku świec jarzących, masy choinek zielonych, na wzorzystym dywanie, państwo

młodzi uklękli, jak się orszak weselny szykował..

Proboszcz, w bogatą białą kapę przybrany, wyszedł z zakrystyi.

— „Veni Creator!“

Organ stary, ale mocny jeszcze, zabrzmiał donośnie, a z mojej piersi, bólem wezbranej, podeptanej tak niedawno, wyszedł głos silny, prawie potężny

Oglądali się ludzie. Odśpiewałem hymn do Ducha świętego. Proboszcz obrządku dopełnił.

Niewiele-bo czasu potrzeba, aby dwoje ludzi na złą, czy na dobrą dolę połączyć.

Kiedy orszak weselny ku drzwiom kroczył, poloneza im grałem, z uczuciem, z wielkiem uczuciem...

Ostatni to raz w życiu dotykałem organów.

Zszedłem z chóru; powozy i karety mknęły już ku dworowi, na mnie oczekiwał przy drzwiach Biernacki.

— A niechże pana nie znam!—
zawołał—a to grasz. Gdzie!? Nasz
dławiduda powinien u ciebie w pie-
cach palić. Ktoby się spodziewał,
że taki mizerny człowieczyzna, jak
profesor, może głosu wielkiego
dobyć i że gra jak drut. Wielką
przysługę zrobiłeś sędziostwu,
a najbardziej sędzinie, bo ślub
z przeszkodami dobrego nic nie
wróży.

— Przesady!

— I ja powiadam, że przesady;
ale swoją drogą, sam znałem ta-
kiego, co idąc do ślubu, potknął
się w kościele — i co profesor po-
wiesz? We dwadzieścia dwa lata
potem, nie w tym samym dniu
wprawdzie, ale o tej samej godzi-
nie punktualnie, umarł, panie, jak
drut—na zapalenie wątroby! Prze-
sąd, juści przesąd, ale człowieka
dyabli wzięli. Nie ulega kwestyi, że
coś jest takiego w powietrzu. Po-
czekajmy trochę na proboszcza,
właśnie trzymam dla was powóz.

Ksiądz nadszedł, pojechaliśmy.

Rozpytywał się, z kąd na organach grać umiem, opowiedziałem mu w krótkości.

Pokazało się że on księdza Eustachego doskonale znał, że przez trzy lata, tylko co z seminarium wyszedłszy, przy nim wikarym był.

Bardzo go dobrze pamiętał i miłe wspominał, bo też, co prawda, mało takich ludzi zacnych, takich wielkiego serca, jak był ksiądz Eustachy.

Weszliśmy do dworu, a tam się już roziło od gości. Pełno było panów we frakach, matron w jedwabiach, panien w powiewnych sukienkach. Gwarzyło to, rozmawiało, śmiało się, bo komuż nie wesoło na weselu?

I ja może byłbym cieszył się razem z nimi, ale boleśnie wiercił mi w sercu ten... czwarty.

Otworzono na oścież drzwi do jadalni, gdzie był ogromny stół zastawiony.

Goście przeszli parami, pozajmowali miejsca. Tak się złożyło, że siedzieliśmy obok siebie: proboszcz, pan Dukszner i ja. Gawędziliśmy półgłosem o tem, o owem, a potem przestaliśmy gawędzić, bo kieliszki w kurs poszły, a przy kieliszkach przemówienia i toasty.

Więc naprzód wniesiono toast za zdrowie i pomyślność młodej pary, gromkim przyjęty wiwatem, potem na cześć rodziców pani młodej, pana młodego. Humor się ożywiał, szkło brzęczało, rozmowa coraz gwarniejszą się robiła.

I mnie, po kilku kielichach, również się nieco zrobiło, bo w ogóle trunków używam bardzo mało, w wyjątkowych okolicznościach jedynie, przez co i silniej one na mnie, aniżeli na ludzi przyzwyczajonych, działają.

Sędzia, napełniwszy winem duży kielich, powstał. Zrobiła się cisza przy stole.

— Drodzy moi goście — przemówił — żadnym ja stanem nie pogardzam, ludzi uczciwych wszelkiej, choćby najniższej kondycyi, szanuję, ale w dość długim życiu mojem nie zdarzyło mi się jeszcze, abym w licznym i szanownem gronie wznosił toast na cześć... organisty. Trafia mi się taka okazyja po raz pierwszy, a tem dla mnie jest miłsza, że dzisiejszy przygodny organista nasz, pan Melchior, jest mi podwójnie szanowny i drogi; raz jako człowiek, który uzupełnił wykształcenie mej córki, a powtóre, jako przyjaciel mój osobisty i miły zawsze towarzysz. Dziś dał on nam poznać talent swój ukryty i dzięki jemu, wy, państwo młodzi, o kilka godzin wcześniej zostaliście stułą związani. Jeżeli trzy godziny szczęścia więcej są coś warte, a wiercie mi, że warte są wiele, to wiedzcie, że zawdzięczacie je memu przyjacielowi i że należy mu się od

was podzięka. Wnoszę ten toast na jego cześć. Wiwat pan Melchior, przyjaciel nasz, zacny człowiek i dzisiejszy .. organista!

Uczczono mnie gromkim wiwatem. Pan młody przyskoczył i uścisnął mnie serdecznie za owe trzy godziny szczęścia, a i morderczyni moja podała mi rękę i podziękowała słodziutkim głosem za przysługę...

Były tańce, krążyły kielichy, a potem, jak dla mnie przynajmniej, wszystko już dziwnie krążyło.

Dokładnej relacyi z przebiegu zabawy nie podaję, bo szczegóły wysliznęły się z mojej pamięci.

To tylko pamiętam, że nocą gwiazdy świeciły pięknie, a Biernacki mnie pod rękę prowadził.

I to pamiętam, jak przez mgłę, żem się uparł, żeby się po ogrodzie przejść. I przeszliśmy się.

Widocznie, rozmarzony winem, wypowiedziałem mu wszystkie

moje smutki i bole serdeczne i zamiar niezłomny wyjazdu, bo poczciwy człowiek litował się nademną pocieszał, mówiąc mi ciągle przez łyzy.

— Melchiorze, jeżeli mnie kochasz, nie bądź głupi!

Nie było w tem stylu, ale serce było.

I to pamiętam dobrze, że odprowadził mnie do mojej stancyjki, że całował mnie, ścisnął, aż frak na nim potrzaskał, że złościł się, klął, opowiadał coś o waryackich skrupułach, o gęsi, o baranie polacinie beczącym...

Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że to były jakieś do mego postanowienia aluzye.

Kiedym się obudził nazajutrz, już ani panny Wandy, ani gości nie było.

Poszedłem do dworu i zastałem sędziostwa bardzo, bardzo smutnych.

Ona krzątała się po pokojach, ocierając łyzy ukradkiem, on, chociaż na nogę utykał, chodził jednak z kąta w kąt, miejsca sobie znaleźć nie mogąc.

Widać Biernacki, filut, musiał coś o moich zamiarach nadmieniść, bo sędzia, jak to mówią, z różnych beczek zaczynał, proponował mi posady jakieś nadzwyczajne: lustratora, kasyera!

Szczerze powiedziałem, że przyjmując nie mogę i po dwóch tygodniach odjechałem.

Kiedym żegnał tych ludzi, zauważyłem, że chwila rozstania była dla nich bardzo przykra.

A dla mnie? Mój Boże, łyzy miałem w oczach, ale nie chciałem, nie mogłem przy nich w takim charakterze pozostać. To było nad moje siły...



Rozdział ostatni, będący zakończeniem historii nieboszczyka czwartego.

Kiedy mi szczęśliwe zdarzenie dało poznać pana Melchiora i bliższe zawiązać z nim stosunki—mieszkał on wówczas w Warszawie i zajmował niewielki pokoić przy familii, ale z osobnem wejściem, przy ulicy Wspólnej, wysoko, na trzeciem piętrze.

Przychodziłem do niego niekiedy na pogawędkę i cygaro.

Gawędziliśmy, a w tych gawędach malowała się cała jego dusza, dusza prostoty gołębiej.

Pobyć w Woli zrobił w nim wielki przewrót, zniechęcił go do świata, źle mówię, nie zniechęcił—ale onieśmielił bardziej jeszcze.

Lekcyi już dawać nie chciał, od zastępstw się wymawiał, chyba, gdy go bardzo proszono, ustępował—i poprawiał ćwiczenia uczniowskie za tych, co czasu nie mieli, albo nie chcieli mieć; opracowywał gramatykę łacińską, która wyjść miała z druku, jako samodzielna praca doświadczonego pedagoga pana Iksa; pomagał komuś przy układaniu praktycznego słownika greckiego, ale czynił to bez wynagrodzenia i jedynie na usilne prośby.

Zapłaty żadnej nie chciał—pieniędzy nie potrzebował. To, co zarobił na wsi miał i czerpał z tego funduszu, jakby przeczuwając, że mu na krótkie życie wystarczy.

— Mnie tu między wami nie-
długo już—mówił nieraz do mnie
—dni moje policzone.

— Cóż to, panie Melchiorze,
chory jesteś? dolega ci co?

— Nie chorym ja, nic mnie nie
boli i nie dolega, a przecież czuję,

że już koniec. Słabnę, siły tracę, dopalam się, jak świeca. I lepiej. Śmierci się nie lękam, życia nie żałuję. Nikomu nie byłem i nie jestem potrzebny... Odejdę, bo taka kolej rzeczy; kto przyszedł, musi odejść. Jeden pozostawia po sobie żal, inny pogardę, jeszcze inny przekleństwo—ja nic. Nikt nie zauważył mego istnienia, nikt nie spostrzeże, żem zniknął; w statystyce przybędzie jednostka, w księgach stanu cywilnego akt zejścia, na cmentarzu mogiła...

Staralem się go pocieszać, lecz on na inny przedmiot rozmowę zaraz zwracał, najczęściej szachy wydobywał i do gry zapraszał.

— Pokażę ci partycję Tobiasza Tupeta, doskonała! Nie dostanie się ona zapewne do literatury szachowej, nie będzie uwieczniona drukiem, ale jest ciekawa i warta studyów. O! patrz: ja tak, on tak; ja tak, on tak; dalsze posunięcia są te, te i te; on szach, ja zasła-

niam się koniem, on szach, zasłaniam się damą, on jeszcze szach tracę wieżę— i rób, co chcesz— mat! Tak grywał Tobiasz Tupet, myśliciel, filozof najdziwniejszego rodzaju, mistyk, kabalista, osobliwa istota, jakiej podobnej w życiu mojem nie widziałem i zapewne już nie zobaczę...

Rozmawialiśmy o pannie Wandzie, o Woli, o zacnem sercu sędziny i sędziego, o Biernackim.

Był to ulubiony temat gawęd pana Melchiora, zawsze chętnie do niego powracał i rozpamiętywał wszelkie szczegóły kilkoletniego pobytu na wsi, który byłby mógł do najpiękniejszych chwili życia swego zaliczać, gdyby nie to odkrycie fatalne.

Biedny Melchior, nie mylił się co do stanu swego zdrowia; siły go opuszczały, chociaż cierpień żadnych nie doznawał, gasnął, dogorywał, dopalał się, jak świeca.

.
.
.

Jednego razu, gdym wstąpił do niego na pogawędkę wieczorną, nie zastałem go w domu.

Powiedziano mi, że zasłał i kazał się do szpitala odwieźć.

Nazajutrz pojechałem tam rano, ale go już nie było.

Siostra miłosierdzia powiedziała mi, że skonał o drugiej po północy.

Zasnął na wieki, bez cierpień..

Chciałem go raz jeszcze zobaczyć i pogrzebem się zająć.

Posługacz szpitalny, człowiek, za mały datek, bardzo uprzejmy i grzeczny, zaprowadził mnie, jak się wyrażał, do... składu.

Kilka ciał zeszywniałych, wyprostowanych, leżało na stołach, każde było grubem płótnem przykryte.

— Któryż jest Melchior Kurkiewicz? zapytałem, zdejmując kapelusz przed majestatem śmierci.

Posługacz rękę wyciągnął, policzył umarłych, pomyślał i rzekł:

— A to właśnie, proszę łaski pana, jest ten nieboszczyk... czwarty.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERARNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-830 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



F

1312